

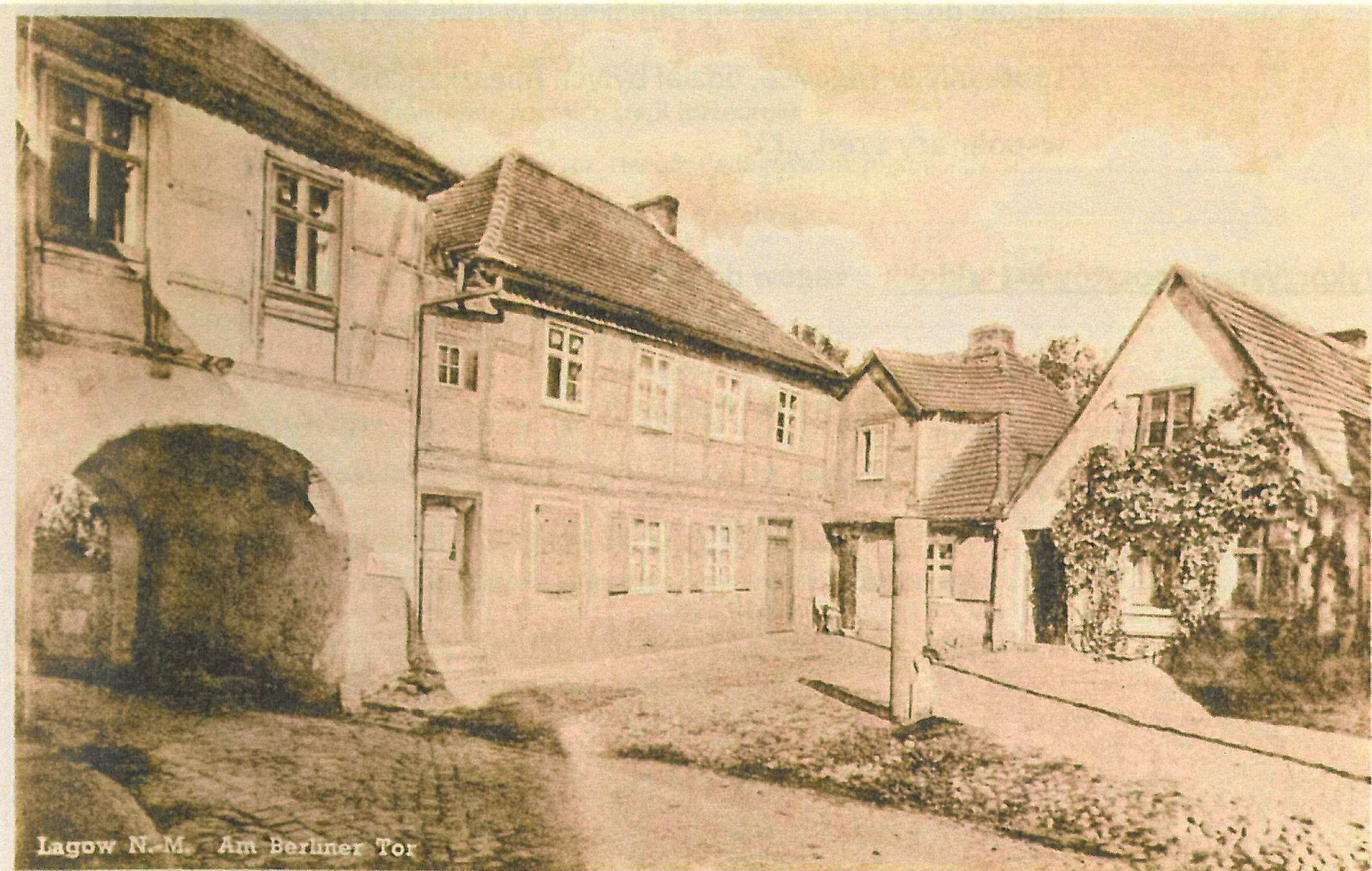


KLIMATY ŁAGOWSKIE

Tradycja - Teraźniejszość - Przyszłość
Bezpłatny, lokalny kwartalnik prywatny

Lagow (Die Perle der Mark) Schloss u. Berliner Tor.

5074



Lagow N.-M. Am Berliner Tor

zdj. Postkarte, zbiory Heinz Bydelak, Schönów/Sieniawa

Spis treści Nr 1/5/2010

1) Od redakcji	2
2) Tablica pamiątkowa noblisty G. Domagk'a w Łagowie – Grünberg Monatsblatt – B. Bernaczek (przedruk).....	3
3) Czołgi nadeszły od Jemiołowa.....	4
4) Syberyjska gwiazdka – A Gabryś	7
5) Region – z bliskiej i dalszej okolicy – Jemiołów wieś	9
- Wiersze Krystyny Mucha – wyszukał R. Bryl i Marcelina Bocheńska	10
6) Z cyklu – Byliśmy tam, tam i tam jeszcze – R. Bryl, M. Federowicz	11
7) Tak wspólnie zaczęli w Jemiołowie – M. Chochoł.....	13
8) Koniaki niemieckie, winiaki polskie – Foto – Day – R. Bryl	16
9) Uprawa winorośli – Działkowiec nr 2/87 mgr J. Sękowska A R Poznań, cz. V (przedruk).....	19
10) Drogi w okolicy – więcej dziur niż asfaltu, cz. II R. Bryl.....	22
11) Dożynki – promocja wsi – A. Gabryś	25
12) Nasza szkoła – Nasza klasa – rocznica szkół (przedruk) - Ze wspomnień Sulechowian – pocz. Liceum Pedagogicznego cz II	27
- To już 55 lat Liceum Ogólnokształcącego w Sulechowie	28
13) Dwie strony, Okno Życia – Przekrój (przedruk)	29
- Okno Życia w Gorzowie i Zielonej Górze – R.B	31
14) Wspomnienia łagowskie - Myśli nad obrazem zagubionej ojczyzny – A. Giesecke	32
15) Łągów szachulcowy, którego już nie ma – R.B.....	35
16) Jak robiono lód w Łagowie z czystych wód jeziora, U. Kathe	36
17) Błękitni Toporów – dobra IV liga piłkarska w gminie – M. Fedorowicz.....	38
18) Rozmowa z Panem Franciszkiem Roguszko, emerytem z Żelechowa, R.B	40
19) Komunikat.....	42
20) Teksty sprzed lat – O Łagowie różnie – archiwum R.B	43
21) Co nam się nie udało.....	45

Od Redakcji:



W 2010 roku, od pierwszego, zimą wydawanego numeru będziemy publikować teksty tłumaczone z jęz. niemieckiego, z obszarów bliskich Ziemi Łagowskiej, Sulęcińskiej, Torzyskiej, Pojezierza Łagowskiego tak rozumianych po 1945 roku – teraz obszarów coraz mniej rolniczych, a coraz bardziej rekreacji i turystyce poświęconych. W porównaniu do obszarów czasów niemieckich do 1945 roku w mocno wtedy rolniczych i lokalnie prężnych i samodzielnych, na słabych uprawowo ziemiach.

Geograficzne tereny te same, historycznie różnie opisane i niekiedy trochę sztucznie kreowane – Bandenburgia, Nowa Marchia, Ziemia Torzyska (Oststernberg), Ziemia Lubuska, to wieki historycznych przemian.

To tutaj płynie nadal rzeczka Pliszka, Łagowa, rzeka Odra, Warta Obra – w tych samych miejscach posadowione od wieków są miasta Świebodzin, Sulęcín, Sulechów, Międzyrzecz, Lubsko, Żary, Gorzów, Drezdenko itp.

Także nie inaczej, ale tutaj na tej ziemi, ojczyźnie dwu i więcej narodów są domy i cmentarze dziadków, rodziców, dzieci, pomniki pamięci i wiekowe drzewa, pałace i dwory jeśli nie zostały zniszczone...

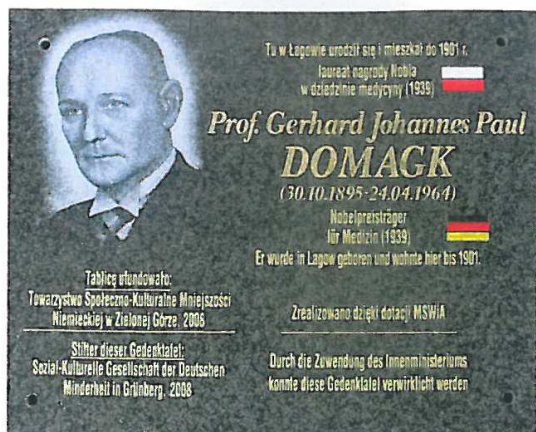
Dobrze jeśli są nadal, i służą innym i będą służyć kolejnym pokoleniom, będą remontowane i poddawane ochronie konserwatorskiej. O tym będzie można czytać w Klimatach, o tym będziemy pisać starając się uzupełnić swoją wiedzę i wiedzę czytelników, z wiadomości także od czytelników...

Redakcja już wie, że dawni Łagowianie mieszkają nie tylko w obszarze państwa niemieckiego, ale także dalej, w Austrii, Francji, Meksyku, USA i in. I podobnie Łagowianie urodzeni po 1945 roku, to teraz mieszkańcy Sulęcína, Gorzowa, Warszawy, Międzyrzecza, Zielonej Góry i gdzieś w Europie i USA.

Nasze pismo liczy na głosy z terenu, ze świata, na wspomnienia, zdjęcia, ciekawostki z życia.

Już teraz dajemy przykłady wspomnień z Łagowa wtedy dzieci i młodych ludzi, którzy opuścili okolice dzieciństwa lub przybyli do Łagowa aby tutaj już do końca zamieszkać. Warto przeczytać, że tak było, warto pamiętać, bo będziemy drukować następne wspomnienia.

Wydawca



LAGÓW, 01. AUGUST 2009



Unser Vorsitzender
mit dem
Gemeindevorsteher
u. unseren
Mitglieder beim
Enthüllung der
Gedenktafel in
Lagow

Auf Initiative der Sozial-Kulturellen Gesellschaft der Deutschen Minderheit in Grünberg und in Zusammenarbeit mit dem Gemeindeamt Lagow wurde am 1. August 2009 die Gedenktafel für den deutschen Nobelpreisträger auf dem Gebiet der Medizin, Prof. Gerhard Domagk, der in Lagow geboren wurde, eingeweiht. Das Projekt wurde dank finanzieller Unterstützung des Innen- und Verwaltungsministers realisiert. Der Gemeindevorsteher von Lagow, Antoni Ryszard Oleszkiewicz, und der Vorsitzende der SKGDM in Grünberg, Bolesław Gustaw Bernaczek weihten die Gedenktafel ein. Sie wurde an das Gebäude der Tourismusinformation (sog. „Kurza Stopka“) angebracht, wo auf Initiative des Gemeindevorstehers in Zukunft ein Erinnerungsraum entsteht. Hier sollen Errungenschaften von Vor- und Nachkriegsbewohnern Lagows auf diesem Gebiet dargestellt werden. Weiter hielt der Vorsitzende einen Vortrag über Errungenschaften des bekannten Lagow-Bewohners, den er mit den Worten des Professors beendete: **Ich bin dankbar, dass mein Leben so reich war. Nach den schönen Erlebnissen, zu denen ich hier in meiner Heimat und in der ganzen Welt kam, stellte ich mir immer die Frage: Was ist im Leben am wichtigsten? Sehr wichtig ist die Gesundheit, deswegen arbeitete ich als Arzt, aber es gibt noch etwas anderes. Es ist das Geheime, der Sinn des ganzen Lebens – das Verhältnis des Menschen zu dem Menschen.**

Die Zusammenarbeit zwischen der Gemeinde Lagow und unserer Gesellschaft entwickelte sich sehr positiv. Auf dem Gemeindegebiet wurden bereits viele Adventstreffen, ein Maitreffen und eine Messe in der deutschen Sprache organisiert. Außerdem veranstaltet unsere Gesellschaft für ihre Mitglieder in Lagow und Schönów Deutschkurse, die von Mgr. Iwona Adam geführt werden. Die Räumlichkeiten werden unentgeltlich von der Gemeinde zur Verfügung gestellt. Die Gesellschaft plant, im November 2009 ihre Ortsgruppe in Lagow feierlich zu eröffnen.



Dnia 01 sierpnia 2009 r. z inicjatywy Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej w Zielonej Górze i przy współpracy z Urzędem Gminy Łagów została uroczysto odsłonięta tablica pamiątkowa niemieckiego noblisty w dziedzinie medycyny, urodzonego w Łagowie prof. Gerhard'a Domagk'a. Projekt zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji. Odsłonięcia tablicy dokonał Wójt Gminy Łagów Antoni Ryszard Oleszkiewicz oraz Przewodniczący TSKMN z Zielonej Góry Bolesław Gustaw Bernaczek. Tablica została umieszczona na budynku Informacji Turystycznej na tzw. „Kurzej Stopce”, w której to z inicjatywy Wójta Gminy Łagów powstanie Izba Pamięci, w której będą prezentowane dokonania przedwojennych i powojennych mieszkańców Łagowa na tym terenie. Następnie Przewodniczący odczytał referat o dokonaniach sławnego łagowianina, który kończył się cytatem profesora: **"Jestem wdzięczny, że miałem tak bogate życie. Po tych pięknych przeżyciach, których dostąpiłem tu w ojczyźnie i na całym świecie ciągle zadawałem sobie pytanie: Co jest najwartościowsze w życiu? Bardzo ważne jest zdrowie, dlatego pracowałem jako lekarz, ale istnieje jeszcze coś innego. Jest to tajemnica, sens całego życia - stosunek człowieka do człowieka."**

Współpraca pomiędzy Gminą Łagów i naszym Towarzystwem układa się bardzo dobrze. Zorganizowano już na jej terenie wiele wspólnych spotkań adwentowych, majówkę i Mszę św. w języku niemieckim, ponadto nasze Towarzystwo prowadzi w Łagowie i Sieniawie kursy języka niemieckiego dla naszych członków prowadzone przez mgr Iwonę Adam, a lokale, w których odbywają się kursy są bezpłatnie udostępnione przez Gminę. W listopadzie 2009 roku TSKMN planuje uroczyste otwarcie swojego koła w Łagowie.

Bolesław Gustaw Bernaczek

Der schwärzeste Tag meines Lebens

Wie ich 1945 als 13-Jährige den Einmarsch der Russen in Lagow erlebte!

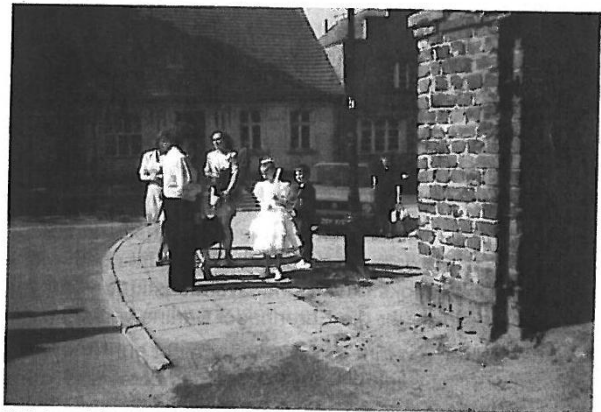
Christa Weidlich, geb Zajonzek, früher Lagow, erinnert sich

Es war Ende Januar und sehr kalt. Wir spielten draußen auf unserem Hof. Mit einem Mal horchte ich auf, es war ein eigentümliches Geschrei und Grollen in der Luft. In Groß Kirschbaum war ein Truppenübungsplatz, jedenfalls etwas Militärisches und wir Kinder durften dort nicht hin. Aus dieser Richtung kamen so eigenartige Schreie, es hörte sich an wie Hurrä-Hurrä. Ich habe es noch heute in den Ohren!

Da kam auch schon meine Mutter aus dem Haus und gab uns Lebensmittelkarten. Wir sollten schnell zu Sommers gehen, das war unser Laden, wo wir immer einkauften und sollten Butter holen. Ich kann mich erinnern, daß wir einen ziemlich großen Klumpen Butterschmalz in die Hände gedrückt bekamen und schnell nach Hause laufen sollten. Wir wohnten auf der Tiergartenhöhe, genannt die Scholle. Wir liefen so schnell wir konnten die Petersdorfer-Chaussee hinauf. Unterwegs begegneten wir schon vielen Leuten, die aus Lagow raus wollten. Es war ein Krachen und Grollen in der Luft, aus allen Richtungen kamen kleine Gruppen, manchmal auch einzelne deutsche Soldaten gelaufen, meistens über die Felder und am Waderand entlang, wo wir später auch viele Tote fanden. Zu Hause mußten wir sofort in den Keller. Da rollten auch schon die ersten Panzer an. Unser Haus stand an der Straße. Es wurde jedes Haus durchsucht,

war schrecklich, es wurde keine Rücksicht genommen, ob Kinder, Mädchen oder ob die Frau schwanger war.

Dann mußten wir eines Tages von der Tiergartenhöhe in die Stadt runter, weil dort oben bei uns Fliegerbeschuß war. Wir kamen mit einigen Familien bei Bäcker Kahte im Ort unter.



Bäckerei Kahte in Lagow, 1997

Foto: Weidlich



Christa Weidlich mit Bruder, Schwester und der jetzigen Bewohnerin vor dem Elternhaus, 1994 Foto: Weidlich

hauptsächlich nach Militär, denn es war ja noch Kriegszustand. Die Front stand an der Oder, da wurde noch tüchtig geschossen. Dann fuhren viele Autos und Panzer die Straße rauf und runter. Wir Kinder bekamen mit, daß Munition zur Front gebracht wurde.

Meine Mutter und noch andere Frauen mußten für die russischen Soldaten in unserem Haus kochen. Alles was sie mitbrachten, mußten wir mitessen, weil sie dachten, sie werden vergiftet. Auch den Wodka mußten wir mittrinken. Später mußten wir unser Haus räumen. Wir sind zum Nachbarn Göttel gegangen. Wir lagen alle auf dem Fußboden, die größeren Mädchen versteckten die Mütter zwischen uns kleinen Kindern. Meine älteste Schwester war 16 Jahre alt. Es

Mein Vater war noch bei uns, auch Herr Baumgard und Herr Kahte, das waren die einzigen Männer im Haus. Dann hielt am Nachmittag ein Panzer an. Russische Soldaten stürmten herein und zeigten auf meinen Vater, er solle mitkommen und ihnen zeigen, wo es nach Groß Kirschbaum ginge. Meine Mutter weinte, wir waren 9 Kinder.

Da meldete sich Herr Kahte, der Bäcker und sagte: „Einen Moment, ich komme gleich.“ Er kam mit einem Messer wieder und schnitt sich die Pulsader auf und dann auch die seiner Frau. Die Tochter Ulla bekam er nicht zu fassen. Die Russen stürzten aus dem Haus, die Kinder und Frauen schrien und liefen nach hinten raus, da war der See. Viele wollten ins Wasser gehen, aber meine Mutter und mein Vater hielten sie davon ab. Wir warteten bis es dunkel wurde, denn auf der Straße durfte sich niemand sehen lassen, da wurde geschossen. Dann liefen wir rüber zum Kindergarten. Ich kann mich nur erinnern, daß mein Vater in die Bäckerei ging, als es dunkel und ruhiger wurde, um nach dem Ehepaar Kahte zu sehen. Es muß schrecklich gewesen sein. Sie hatten wohl noch Gift genommen.

Dann kam der schwärzeste Tag meines Lebens. Am 3. Februar holten sie alle Männer bis 60 Jahre. Wir durften uns nicht einmal von unserem Vater verabschieden. Er sagte bloß: „Wir sehen uns nicht mehr wieder“. Er war 42 Jahre alt. Wir haben nie wieder ein Lebenszeichen von ihm gehört.

Wir gingen dann wieder mit unserer Mutter in unser Haus auf der Tiergartenhöhe zurück – ohne unseren Vater.

Bis wir dann unsere Heimat im Sommer verlassen mußten, passierten noch viele schlimme Dinge, die ich nie vergessen werde!

Christa Weidlich, jetzt Templinerstr. 4, 14473 Potsdam

„Najczarniejszy dzień mojego życia”

Od Redakcji „Czołgi nadeszły do Jemiołowa”

Wspomnienie 13-letniej Christy Wiedlich z domu Zajonzek podczas wkraczania Armii Czerwonej 31.01.1945r. – 01.02.1945 do Łagowa.

Był to koniec stycznia i było bardzo zimno, my dzieci bawiliśmy się na naszym podwórku. Nagle usłyszałam niesamowity krzyk oraz coś w rodzaju grzmotu. W miejscowości Trześniówek (Gross Kirsbaum) znajdował się już od paru lat poligon wojskowy, a nam dzieciom zabroniono w tym kierunku chodzić. Z tego kierunku pochodziły, owe krzyki, które brzmiały urra-urra. Jeszcze dziś brzmią one w moich uszach!

W tym czasie z domu wyszła nasza matka i wręczyła nam kartki żywnościowe, mieliśmy szybko pobiec do sklepu pana Sommer, bowiem był to nasz sklep w którym dokonywaliśmy zakupów przydziałowych. Jeszcze sobie przypominam, że wręczono nam Duży kęs smalcu masłowego i nakazano szybko powrócić do domu. Mieszkaliśmy na ulicy Tiergartenhöhe (dzis Os. Lecha 12) – zwanej flądra „Scholle”. Biegliśmy możliwe jak najszybciej ulicą Peters – dorf Chousse (dziś ul. Sulęcińska) w kierunku naszego domu. Po drodze spotkaliśmy dużo ludzi, którzy chcieli opuścić Łagow. Odgłosy trzasków, strzałów, wybuchów roznosiły się nad głowami w powietrzu. Z różnych kierunków nadbiegały małe grupki lub pojedynczo żołnierzy niemieckich przez pola i wzdłuż linii lasu, gdzie później znaleźliśmy sporo zabitych. W domu musieliśmy natychmiast skryć się do piwnicy. W tym czasie przetoczyły się już pierwsze czołgi. Nasz dom stał przy ulicy. Każdy dom został skrupulatnie przeszukany przez Rosjan za żołnierzami Wehrmachtu. Front stanął wówczas na Odrze i tam jeszcze walczone.

Dużo samochodów i czołgów przetaczało się ulicą tam i powrotem. Jako dzieciom, tłumaczono nam, że transportowano amunicję i zaopatrzenie w kierunku frontu.

Moja matka i inne kobiety musiały gotować dla żołnierzy rosyjskich. Wszystko co przyniesiono, musieliśmy razem z nimi spożywać, gdyż podejrzewali, że możemy ich otruć. Również wódkę musieliśmy z nimi pić. Później musieliśmy nasz dom opuścić. Przebywaliśmy u sąsiadów nazwiskiem Göttel. Leżeliśmy na podłodze, większe dziewczynki chowały matki pomiędzy dziećmi... Moja najstarsza siostra liczyła wtedy 16 lat, gwałcono dziewczynki, kobiety w ciąży.

Pewnego dnia musieliśmy nasze osiedle opuścić ponieważ podejrzewano, że czeka nas ostrzał. Część rodzin zakwaterowano się w centrum Łagow u piekarza Kathe (w Łagowie dom p. Thiel). Mój ojciec był jeszcze przy nas, był też pan Baumgert i pan Kathe – oni byli jedynymi mężczyznami domu.

Popołudniem zatrzymał się czołg przed domem, żołnierze rosyjscy wdarli się do domu wskazując na naszego ojca aby poszedł z nimi i wskazał drogę na Trześniówek. Moja matka płakała, było nas dziewięcioro dzieci. W tym czasie pan Kathe, piekarz powiedział chwileczkę, wyszedł do innego pomieszczenia, powrócił z nożem i na oczach wszystkich podciął sobie i żonie żyły u rąk. Żołnierze rosyjscy opuścili dom, a dzieci i kobiety z krzykiem i płaczem uciekły na zaplecze domu, na ogród przy brzegu jeziora. Wtedy też wielu chciało się utopić,

jednak moja matka i ojciec wstrzymali ich od tego zamiaru. Przebiegliśmy do sąsiedniego przedszkola aby nie kręcić się po zmroku, bo opuszczenie domu groziło rozstrzeleniem. Przypominam sobie, że ojciec poszedł do piekarni zobaczyć co się dzieje z małżeństwem Kathe. Musiał to być okropny widok, bowiem zażyli truciznę.

Później nadszedł najczarniejszy dzień mojego życia, trzeciego lutego zgoniono wszystkich mężczyzn do 60-tego roku życia. Nawet nam nie pozwolono pożegnać się z ojcem. On powiedział nam – my się już nigdy nie zobaczymy. Ojciec liczył 42 lata. Już nigdy nie otrzymaliśmy od niego jakiegokolwiek znaku życia. Powracaliśmy z matką do naszego domu na osiedlu, bez naszego ojca.

Do czasu, gdy latem, w czerwcu 1945 roku zmuszono nas do opuszczenia naszego domu, działo się w Łagowie i okolicy wiele złych rzeczy i gwałtów, których nigdy nie zapomnę.

Wspomnieniem podzieliła się Christe Wiedlich zam. Postdam.

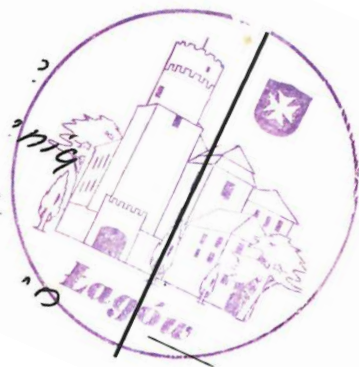
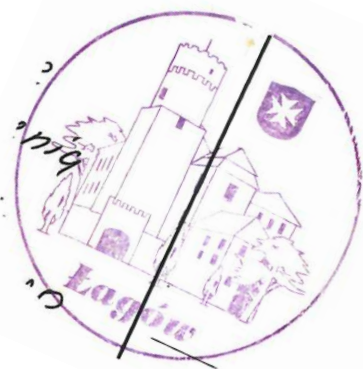
Tekst przetłumaczył Peter Glogowski zam. Łagów z Osternberger Hermatbrief.

Wybrał R. Bryl w rocznicę 65 lat po zakończeniu najtragiczniejszej z wojen...



KWARTALNIK LOKALNY

Klimaty Łagowskie





Syberyjska Gwiazdka.

Już niedługo Boże Narodzenie, znowu pojawiają się puste miejsca przy stole. To właśnie dla naszych nieżyjących bliskich stawiamy dodatkowe nakrycia, tak jakby w noc wigilijną byli razem z nami. Pragniemy jeszcze raz poczuć ich obecność.

Chciałabym opowiedzieć o nietypowej wigilii, która miała miejsce 25 grudnia 1942 roku na Syberii koło Irkucka. Mój nieżyjący wujek ze strony męża, Czesław Szagdaj wraz z matką i sześciorokiem rodzeństwem, w lutym 1940 roku został zesłany na Sybir. Opowiadał o strasznej podróży z Grodna do Irkucka: w bydłocych wagonach, bez żywności i ciepłej odzieży. Czesław skończył wtedy 13 lat. Jego ojciec Jan Szagdaj, legionista u Piłsudskiego został aresztowany i słuch po nim zaginął. Matka była zrozpaczona, Czesław starał się jej pomagać opiekując rodzeństwem. Mieszkali w baraku, każda rodzina bez względu na ilość osób zajmowała izbę 3x4m. Surowe warunki klimatyczne, brak żywności, lekarstw, częste epidemie gruźlicy spowodowały, że dwie najmłodsze siostry Czesława: Halina i Maria zmarły z głodu i zimna. Aby pomóc matce i otrzymać kartki na żywność, podjął pracę w lesie. Wujek opowiadał, że w wieku 14 lat został brygadzystą. Karczowali lasy, palili gałęzie i wozili taczkami drzewo pod tory kolejowe, żeby nie było przestojów. Czesławowi najbardziej utkwiła w pamięci wigilia 1942 roku. Matka pracowała w oborze, przyniosła owsianego śrutu i ugotowała zupę. To było jedyne wigilijne danie, ale rodzina się nie załamywała. Wspominali bogatsze święta, rozmawiali o ojcu i po cichutku śpiewali polskie kolędy. Wreszcie marzenie Czesława się spełniło i otrzymał w Irkucku pracę kierowcy, u rosyjskiego urzędnika o polskim nazwisku Wierzbicki.

Był rok 1943, a Czesław po raz pierwszy od wybuchu wojny jadł kielbasę. Znalazł się w I Armii WP w Sielcach nad Oką, najpierw jako telegrafista a potem zwiadowca. Zbliżyły się kolejne, teraz już żołnierskie święta Bożego Narodzenia. Wszyscy oszczędzali konserwy, przynieśli z lasu choinkę i razem z Rosjanami świętowali. Każdy myślał o domu i o najbliższych, których losy najczęściej nie były znane. Rosjanie zrewanżowali się im w czasie swoich świąt, dwa tygodnie później i chociaż nie mieli za wiele, zawsze się z nimi dzielili, nawet kartoflami. Marzenia wigilijne o spotkaniu z ojcem, spełniły się w 1944 roku. Czesław odnalazł go rannego w okopach pod Kiwercami, a potem odwiedził w szpitalu w Michalinie koło Otwocka. Po wyzwoleniu, ojciec zajął gospodarstwo rolne w Żelechowie koło Łagowa. Czesław Szagdaj był Synem Pułku I Samodzielnej Brygady Artylerii, przeszedł cały szlak bojowy od Smoleńska do Berlina. Do cywila wyszedł w roku 1947, zamieszkał w Łagowie, a potem w Międzyrzeczu. Zmarł w lipcu 2005 roku. Decyzją Prezydenta RP, został awansowany do stopnia porucznika.

Pozostawił po sobie piękne i smutne wspomnienia. Chciałabym, aby jego wnuki i prawnuki poznały, jakim dzielnym człowiekiem był ich dziadek. Aby przy wieczery wigilijnej wspominały jego ciekawe losy syberyjskie, partyzanckie i wojenne.



Tekst: Anna Gabryś

Ballada zesłańców.

*Ojczyzno nasza, ziemio ukochana,
W trzydziestym dziewiątym cała krwią zalana.
Nie dość, że Polskę na pół rozebrali,
To jeszcze Polaków na Sybir Wygnali.
Dziesiąty luty będziem pamiętali,
Gdy przyszli Sowieci, myśmy jeszcze spali.
I nasze dzieci na sanie wsadzili,
Na Główną stację wszystkich dowozili.*

*O straszna chwilo, o straszna godzino,
Rodząca swoich bólów zapomina.
Ale wam powiem, nie zapomnę chwili,
Gdy nas w ciemny wagon jak w trumnę wsadzili.
O, żegnaj Polsko, żegnaj chato miła,
O, żegnaj ziemio, która nas karmiła.
Żegnaj słoneczko i gwiazdy złociste,
My odjeżdżamy z tej ziemi ojczystej.*

*Cztery dni polską ziemią my jechali,
Lecz żeśmy ją tylko przez szpary żegnali.
W piąty dzień sowiecka maszyna ryknęła,
Jakby każdego sztyletem przeszyla.
Mijają doby, tygodnie mijają,
Raz na dzień chleba i wody nam dają.
Mijamy Rosję i góry Uralu
I tak jedziemy wciąż dalej i dalej.*

*Czwartego marca stanęła maszyna
I tak już transport z nami się zatrzymał.
Jedziemy autem, a potem saniami,
Przez śnieżną tajgę, rzekami, lasami.
Oj, smutna była nasza karawana,
„kapiatku” z chlebem dali nam, co rana.
Dzieci zmarznięte z sani wypadają,
A na noclegach umarli zostają.*

*O, Polsko piękna, ziemio nasza święta,
Gdzie twoje syny, gdzie Twoje orłęta?
Dzisiaj w sybirską tajgę przyjechali.
Czy będziem Ciebie, kiedy oglądali?
Słoneczko złote smutno nas witało,
Gdy do baraku rano zaglądało.
Dwie białe trumny sosnami ubrane,
Nad nimi matki klęczą zapłakane.*

*Jesteśmy sami, straż nas zostawiła,
Bo cóż tu będzie koło nas robiła.
Tyfus okrutny wśród ludzi się szerzy,
Co dzień to więcej pod sosnami leży.
Zima, śniegi straszne, w lesie ciężka praca,
Głód i tęsknota bardzo nas przygniata.
Tylko po lesie słyhać głos płaczący,
„O Jezu Chryste, w Ogrójcu mdlejący”.*

*Polska Królowo, zlituj się nad nami,
Nad polską ziemią i nad Polakami.
Powróć nas, powróć do ziemi ojczystej,
Królowo Polski! Panienko Przeczysta!*

*Słowa i muzyka anonimowe, powstały po roku 1940 podczas deportacji.
Balladę można śpiewać na melodię pieśni „Boże, coś Polskę”.*

Aleksander Markowski

Zimowy pejzaż

W białą pierzynę przystroił świat
w koronkach całe drzewa
czapami białymi strojny dach
cisza błogostawiona dzwoni
jemiotuszką przysiadła na gałęzi jabłoni
i srebrzysty pyłek strząsa
gdzieś w oddali dzwonek sań słychać



i śnieg skrzypi pod kopytami koni
a w górze delikatny błękit nieba
i powietrze kryształowej czystej woni
sadzawka taflą lodu się pokryła
i dzieciom daje radość
zima w okowy świat cały spięta
okazując w pełni swą piękność.

Krystyna Mucha



Krystyna Mucha

Chciałabym

Chciałabym by moje wiersze
pachniały wiosną
kwitły latem
by głosem człowieczym
przemówiły do ludzi czasem
pachniały łąką polem lasem
tatarakami kaczeńcami i trzcinami
i żeby były
jasne jak niebo
i radosne jak dzieci
i by zawsze w nich świeciło słońce
i myśl, co nad poziomy wleci.

Jeśli

A jeśli kiedyś
umrzeć mi przyjdzie
to tylko pośród
jęczmienia i żyta
niech wolno mi będzie
w ostatniej zorzy życia
spojrzeć na sady i pola
a gdy już oko nacieszę
martwą zakryję powiekę
ostatnim tchnieniem tej ziemi
pożegnajmą chatę w topolach.

I nikt im wiersza nie napisze
nikt nie zapłaci na ich grobie
tylko wielką miłość
pozostawią po sobie
tylko smutek i żal
pustkę, – której nikt nie wypełni
żadne z nas

bezimienni

bohaterowie
osadnicy.

Świat

Żyję w świecie
szczęścia i szaleństw
szczęście - to rosa poranna
na trawie
i uśmiech letniego poranka
o brzasku ptaków radosne wstawanie
gonitwa i wróbli zabawa
to letnia przygoda
i śpiew słowika
to gwiazdy nocą
i kropla deszczu na szybie
to mrozu drzew malowanie.

Szaleństwo – to wojen wciąż trwanie
i przyrody umieranie
to brak serca u ludzi
i wielkie zbrojenia.

Przerwijmy świata taniec szalony
podajmy ręce do zgody
a będzie nas codziennie budziło
słońce radosne i wciąż młode.

Biogram

Pani Krystyna Mucha z d. Biskup urodzona i zamieszkała w Jemiołowie. Ukończyła Technikum Łąkarskie w Słubicach. Po zamążpójściu wraz z mężem Stanisławem prowadziła duże gospodarstwo rolne w Jemiołowie. Od lat interesowała się literaturą piękną, sama prowadziła udane próby pisania i tworzenia poezji, publikując w prasie lokalnej i ogólnopolskiej, wydała tomik wierszy. Pisząc o lokalnej rzeczywistości nie mogłem nie odnaleźć dobrej poezji. Przedwczesna śmierć przerwała poetycką refleksję...

Ryszard Bryl

Wybrała: Marcelina Bocheńska

Byliśmy tu, tam, i tam jeszcze...

Nie było tego dnia tak, aby nie ruszyć w teren – było i jeszcze ciepło jak na połowę listopada, i dzień pogodny. Dojechaliśmy tym razem po raz kolejny do znanego już nam Jemiołowa.

We wrześniu 2008 też tutaj byliśmy aby podziwiać jemiołuszkę, dodanego do tablicy z napisem miejscowości – świetnym pomysłem lokalnym. Ale i wtedy w 2008 i teraz w listopadzie 2009 zaskoczył nas Skansen, jego rozrastająca się powierzchnia i ilość sprzętów, a także chęć działania. Zaskoczył nas pozytywnie też, pomysłodawca i kustosz mieszkający w pobliżu, w swoim obejściu poprawiający odkupione i подарowane, do niedawna

używane w rolnictwie sprzęty. Tak porozmawialiśmy z Panem Miroslawem Chochołem, mamy z tego pobytu zdjęcia, nowe znajomości, widokówki...

Gdy w 2009 roku zawitaliśmy do Jemiołowa, to jemiołuszek „siedzi sobie” już na tablicach rejestracyjnych samochodów, ma w łagowie czytelne oznaczenie tablicą turystyczną, jak oglądać i jechać do Skansenu Maszyn Rolniczych. Sam Jemiołów odświeżył obejścia, jakby wszędzie czysto,

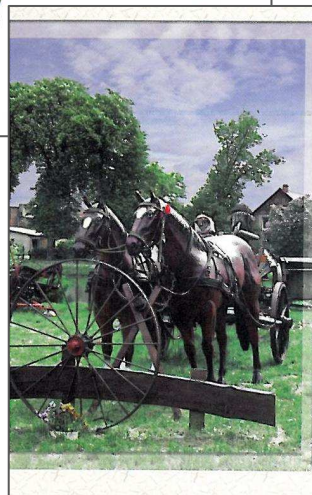
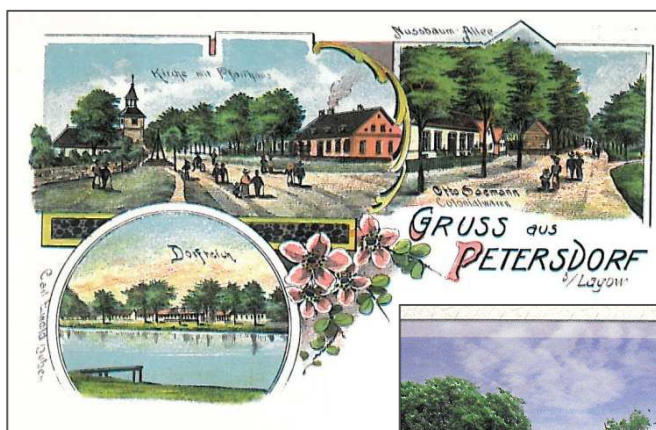


pomalowane, tylko dojechać i dojść dobrymi drogami.

W Skansenie, pod wiatą, naturalnej wielkości, dwa konie w zaprzęgu przy wozie do żniwowania gotowym plony zwozić.

Wizyta miła, gawędy sąsiedzkie, obszar geograficzny znany, podługowski, ciekawy. Drogi we wsi i do innych wsi brukowane, turystycznie sprawne dla pieszych, rowerowych eskapad oraz samochodów. Nie zawsze można bezkarnie i kiedy się chce jednak wędrować gdy część poligonu do Wędrzyna już za Jemiołowem leży - wojskowo zagospodarowana. To tutaj można iść i jechać do nieistniejących wsi

Malutków/ Malkendorf i Trześniówek/ Gross Kirschbaum i podziwiać krajobrazy Ziemi Torzyskiej, Ziemi Sulęcińskiej. To tymi drogami, i także z tej strony wędrując dotrzemy do początków



j. Trześniowskiego, do czynnych stawów rybnych, cieków wodnych, góry Bukowiec, Gorajec, do obszarów znanych do 1945, do Buchmühle, do pięknych lasów bukowych.

Ciekawostką w Jemiołowie, jest okragła, zabytkowa, zadbana, dawna wieża ciśniń, tutaj też wyróżniają się domy – od zabytkowych jakby skromnych konstrukcją, po gospodarskie duże obejścia z pojemnymi stodołami na zbiory z wielohektarowych pól, i po duże gospodarskie domy mieszkalne.

Szkoda, że plony w polskiej rzeczywistości, teraz, są jakby mniej potrzebne, tańsze i uprawiających rolę znacznie mniej. A zwierząt we wsi tylko trochę pozostało, a warunki pozwalały wypasać na poligonowych przestrzeniach stada krów, cieląt, owiec.

Obecna, aktywna grupa inicjatywna we wsi, pokazuje swoimi przedsięwzięciami, że jest dynamiczna.



R. Bryl
M. Fedorowicz
M. Wojecki

„Tak wspólnie zaczęli w Jemiołowie”

Ta myśl zrodziła się już ładnych parę lat temu w Jemiołowie, i tak rodził się pomysł na stałą ekspozycję, – zbiór, Skansen Maszyn Rolniczych. Teraz to już znane miejsce Jemiołów, jemiołuszek na miejscach pryncypialnych, jak tablice rejestracyjne aut, tablica z nazwą miejscowości, tablice informacyjne w Łagowie.

Inicjatorem ekspozycji maszyn rolniczych nad brzegiem zadbanego stawu i łąki jest Pan Mirosław Chochół – mieszka obok, dba, ściąga i pielęgnuje sprzęt, cieszy się, że przybywa tych tradycyjnych i praktycznych oraz pożądanych w niedalekiej przeszłości pomocników na roli.

Jako pierwsza na placu stanęła kopaczka do ziemniaków, dalej już wspólnymi siłami mieszkańcy Jemiołowa i przy wsparciu mieszkańców ościennych wiosek gromadzili kolejne maszyny, sprzęty nieczynne stojące po ogrodach, szopach, stodołach i leżące na strychach.

Część z nich pozyskano za symboliczną opłatą, niektóre musiały być remontowane. Wszystkie prace wykonywano w mało lubianym już, ale znanym i potrzebnym niekiedy czynie społecznym.

Oficjalne otwarcie Skansenu Maszyn i Urządzeń Rolniczych w Jemiołowie nastąpiło latem, w sierpniu 2006r. W ostatnich latach ożywienie życia społecznego w Jemiołowie widoczne jest w wielu dziedzinach, są nowe pomysły, inicjatywy, które kończą się sukcesem.

W roku 2008 nastąpiły m.in. renowacja wnętrza wiejskiej świetlicy, pomalowanie wieży kościelnej, przyjęcie herbu dla Jemiołowa, zakup strojów piłkarskich i wyposażenia, organizacja zawodów piłkarskich i zabawy sylwestrowej. Siłą aktywności i sukcesów już w 2009 roku zostały wydane foldery i widokówki o tematyce wsi Jemiołów i dawnego Petersdorf. Do Jemiołowa zaglądają też byli jego mieszkańcy i cieszą się, że wieś pięknieje. We wsi wykonano remont dachu na świetlicy i małej remizie strażackiej, pomalowano zabytkową już i długowieczną swoją pracą, wieżę ciśnień. Dzięki aktywności i dużego zaangażowania mieszkańców, zostały zebrane pieniądze na pomalowanie kościoła i ogrodu (byliśmy, widzieliśmy, jest ok), a także pobliskiego przystanku autobusowego. Aktualnie w świetlicy, dwa razy w tygodniu organizowane są zajęcia edukacyjne dla dzieci i młodzieży. Także z funduszy gminy zbudowano bezpieczny plac zabaw oraz posadzono w nim krzewy ozdobne.

Przez długi czas po wojnie w Jemiołowie była silna drużyna piłki nożnej „Mgła”, wtedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, każda wieś organizowała się w lokalne OSP i LZS. Więcej było młodzieży we wsiach. Należy podkreślić, że z Jemiołowa, a potem Łagowa, z Kolonii, pochodzi ks. Biskup Antoni Stankiewicz – obecnie od lat w Rzymie, w Watykanie przy boku papieży – najdłużej u Jana Pawła II, sędzia w Sądzie Apelacyjnym miasta Watykan. Pamiętając o korzeniach – 25 maja 2009r. biskup Stankiewicz obchodził w Jemiołowie swoje 50-lecie kapłaństwa, odwiedził miejsca swojego dzieciństwa.

Od lat Jemiołów stał się siedzibą prężnej OSP, ma dobre warunki bazowania, bogaty sprzęt poż i do ratowania ofiar wypadków drogowych. Jest silną placówką nie tylko lokalną, z ochotniczą i zawodowym udziałem rodziny Mucha. Już chyba wszędzie silne stają się Rady Sołeckie, ciała miejscowych aktywnych, i tak jest w Jemiołowie – co piszemy, wspominamy, widzimy wyniki, to ich

aktywność dostrzegana przez Radę Gminy i wójta Gminy Łągów, są wspierania w realizacji nowych, wartościowych pomysłów.

Podziękowania należą się także tym ludziom jak Pan Karol, chce pozostawać anonimowy, który ufundował dzwon do kościoła – jest także pomocny przy innych lokalnych pracach na rzecz wsi.

Powracając do dużego już Skansenu, widać rozwój i przewidujemy rozwój, rozrost ilościowy – ludzie dadzą następne... W 2008 r. Skansen wzbogacił się o model kuźni, budując ją Pan Mirosław Chochół nawiązał do żywych ciągle wspomnień o ojcu kowalu, mieszkańcu i rzemieślniku Jemiołowa w latach 1948-1959. Część narzędzi i wyposażenia kuźni to oryginalne sprzęty po ojcu. Gdy się na nie spojrzy to łezka kręci się w oku. Wtedy radykalnie, mocno i realnie wracają obrazy lat młodości, chwil i lat spędzonych tutaj w tych stronach. Jednym z nich były stada krów, buhajków, owiec, wypasanych na dostępnych obszarach poligonu wojskowego. Wieczorne powroty zwierząt do obór i na podwórka swoich gospodarstw i tak przez lata. Teraz to także wspomnienie.

Tutaj w Skansenie, nowym kolejnym krokiem była budowa schronienia dla dwóch koni i wozu konnego. Konie pełnowymiarowe ale z tworzywa sztucznego (jak dla krasnali). Dwie panie Roma i Stasia podały pomysł i udało się – z datków mieszkańców nie tylko z Jemiołowa zakupiono figury koni, zadaszono i wprzęgnięto je do wozu drabiniastego.

Całość Skansenu przyjmuje zarys dużej inicjatywy z bramą wejściową. Kolejną, jest inicjatywa we wsi, aby ozdabiać Jemiołów w wielu miejscach elementami artystycznych ozdób, rzeźb, bajkowych budek dla dzikich kaczek i innego ptactwa, które jest zasiedlane i żyje swoim dobrym rytmem.

Trzeba się pochwalić – Księga Gości w 2008r. odnotowała wpis ponad 3000 osób i to już piękne jest.

Opowiadał w Jemiołowie przy domu
i Skansenie Maszyn Rolniczych
Mirosław Chochół

Wysłuchał:
Ryszard Bryl

Do całości opracowania zdjęcia różne, stare reprinty i nowe podał Mirosław Chochół i Ryszard Bryl.

ŁAGÓW Mieszkańcy stworzyli skansen Teraz marzą o starej kuźni

- To nasze dzieło. Każdy mieszkaniec Jemiołowie może pozbyć się starego urządzenia w bardzo prosty sposób - oddając je do skansenu - tłumaczy **Józef Szota**. - Mamy maszyny rolnicze jeszcze sprzed wojny i powojenne, a wśród nich grabiarkę, rozdrabniacz, sieczkarnię, obrypnik czy młockarnię.

Skansen nad stawem w centrum wsi powstał z inicjatywy **Mirostawa Chochola**, który teraz myśli o postawieniu starej kuźni. Natomiast **Arek Świerzko** przekazał wykonane z drewna postacie bab i chłopów. Tak właśnie para załadniała wóz drabiniasty, na którym chwyciła lejce.

(kf)

**GAZETA
LUBUSKA**

Wtorek 24 czerwca 2008

www.gazetalubuska.pl

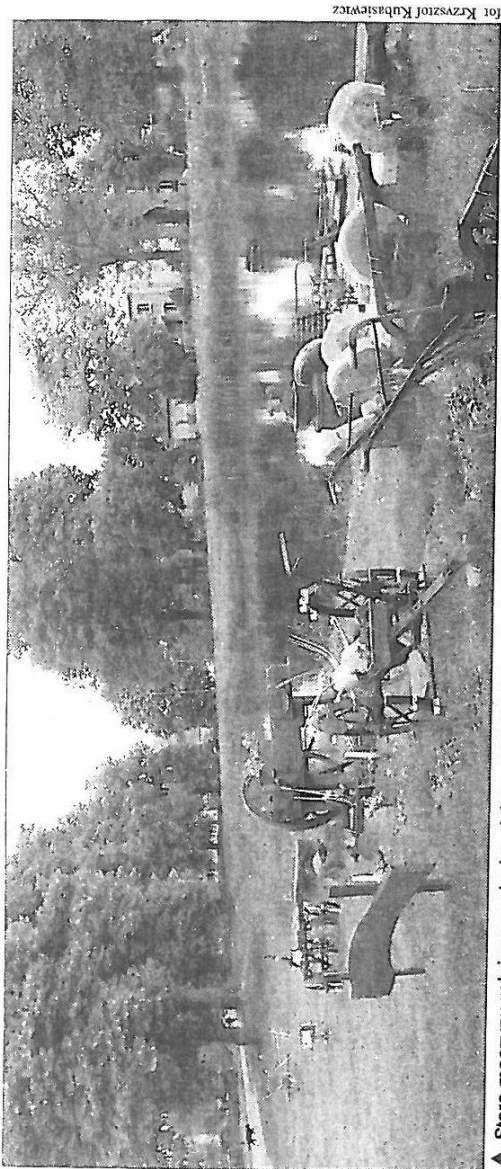
ŁAGÓW W piątek festyn w Jemiołowie. Podczas imprezy poznamy herb wsi!

Twórcy ludowi pokażą dzieła

- Impreza zapowiada się nad wyraz atrakcyjnie - stwierdza **Stanisław Mucha**, sołtys. - W części bardziej oficjalnej nadamy herb naszej wsi oraz otworzymy skansen maszyn rolniczych. Natomiast w bloku informacyjnym wystąpią do nas z Głogowa, Poznania i Zielonej Góry oraz zielonogórskich żużłowców - pokazą się na motorach i w specjalnych uniformach.

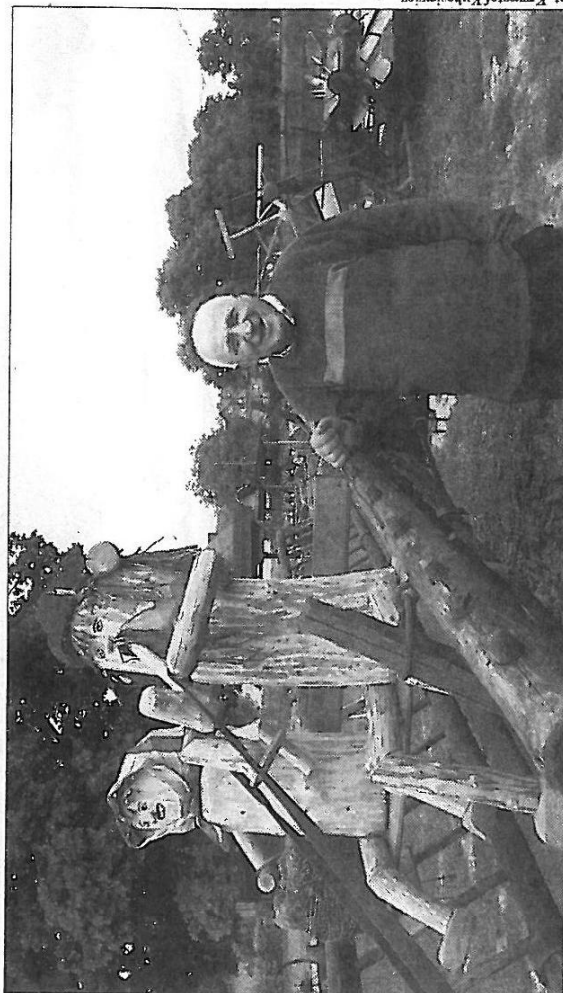
Jak to zwykle przy takiej okazji bywa, nie zabraknie gier i zabaw dla dzieci. Atrakcją będzie prezentacja prac jemiołowskiich artystów - zobaczymy hafty, obrazy i rzeźby. A od 20.00 - potańcówka!

(kf)



fol. Krzysztof Kubasiewicz

▲ Stare maszyny rolnicze znalazły miejsce nad stawem, powstał malowniczy zakątek



fol. Krzysztof Kubasiewicz

▲ - Rzeźby na tym wozie postawił nasz miejscowy twórca ludowy - mówi z dumą Józef Szota. - A cały skansen powstał z inicjatywy Mirostawa Chochola, trafiają do niego maszyny z naszych podwórek.

Winiaki polskie, koniaki niemieckie

Oto 28.08.09 na terenie nieczynnej od wiosny, zielonogórskiej (drugiej i ostatniej) fabryki wódek, na placu wewnętrznym dokonano prezentacji dla zainteresowanych zgromadzonych, używanych wcześniej i teraz niepotrzebnych – beczek, kadzi, kuf. To sprzęt, który odchodzi w przeszłość jak inne



1. Projekt jak będzie w przyszłości... Foto – Day 12.09.09 Foto: R. Bryl
2. Nieczynna od III/09 fabryka koniaków – winiaków Raetscha w Z. Górze, po Polmosie, w innych także zarządach finansowo – właścicielskich
3. Dziedziniec fabryki winiaków
4. Foto – Day – pobyt 12.09.09 w dawnej fabryce koniaków/winiaków Raetscha przy ul. Sulechowskiej – B. Chrobrego – koniec fabryki

podzielonogórskiego i z dalszych terenów.

Zainteresowanie było znaczne – beczki i beki po 1000 zł mogą pojechać do innych właścicieli, są rejestrowane jako zabytki nawet i 100 – letnie, ciekawostki do nadzoru konserwatora... Prezentowane wstępnie beczki drewniane średnie i wielkie – do 20.000 litrów ozdobią winnice, sady, działki użytkowników, hobbystów,



dziedziny - octownie, marmoladziarnie, musztardziarnie, winiarnie. To były fabryczki dawnej Zielonej Góry, miasta z kominami, z budynkami nawet dla laika pokazującymi, że tutaj coś produkowano. Podczas prezentacji przy ul. Sulechowskiej a B. Chrobrego część beczek była oglądana, zapisywano chętnych, przyszłych, nowych winiarzy – winiarstwa

pasjonatów łączących stare i nowe, plantatorów krzewów winnych i przyszłych winiarzy, a tacy będą.

Ponad 10 lat temu nie ustrzeżono się podstawowych błędów źle sprzedając dużą jak na lokalne możliwości winiarnię przy ul. Moniuszki. Nic nie zostało z tradycji, teraz sprzedaje się tam piwo. Produkcja wina z owoców była na kraj i na eksport. Tak było!

W sobotę 12.09.09 o godz 10⁰⁰ na zaproszenie „GL” i za przychylnością nowego właściciela dawnej fabryki koniaków Raetscha, przez dziesięciolecia także polskiej wytwórni wódek, a obecnie nowego właściciela firmy DASA odwiedziliśmy tereny produkcji zamkniętej.



Na przeglądzie beczek w fabryce koniaków Raetscha (ostatniej czynnej) w Z. Górze

Fabrykę koniaków zbudowano szybko w 1894 – 1895 w Zielonej Górze wtedy przy winnicach, z boku małej miejscowości. Budynki bliźniaczo do siebie podobne tzw. lustrzane odbicie budowal Henrich Raetsch, rozbudowali synowie Carl i Curt w latach dwudziestych XX wieku, i prowadzili produkcję do 1945 roku.

Foto – Day, bo tak nazywała się impreza w fabryce alkoholi, mieści się przy ul. B. Chrobrego – Sulechowskiej. Foto – Day, dzień do fotografowania tego co pozostało, co można obejrzeć, co będzie sprzedawane co udostępniono oglądającym masowo, po raz ostatni. A w Zielonej Górze trwał tydzień Winobrania. I było co oglądać!

Wędrowaliśmy po placu wewnętrznym z bekami oznaczonymi do sprzedaży, po rampie załadowniczej, po halach i piwnicach.

To była II- ga część fabryki wódek – jej jeszcze większa część, to fabryka przy ul. Jedności i Wandy. Kiedyś to „Polmos” całą gębą, teraz w innych powiązaniach...

To Zielona Góra miała, i ma spore podziemia, piwnice na produkowane i przechowywane alkohole i dojrzewanie win. W beczkach, bekach, kufach, kadziach. Podziemia wódek i win choć dostępne, opisane, ale niedostępne do publicznego turystycznego otwarcia (i zarabiania). To w Zielonej Górze jest nadal potrzeba, pokazania podziemi tradycji winiarskiej, jej dawnej kultury uprawy i przechowalnictwa. To przecież edukacja i tradycja idąca w parze.

Przez fabrykę przewinęło się 12.09.09 mnóstwo ludzi z aparatami. Przyszli aby zobaczyć jak było, co było, jak chroniono produkcję i gospodarowano w okolicach.

I było co oglądać – fabryczne laboratorium tworzące nowe smaki i gatunki na rynki zbytu czyli do handlu i spożycia – wydobywanie smaków, zapachów, aromatów.

Gabinet dyrektorski w drewnie, sala zebrań, sprzęty i moda rozwoju lat 70 – tych XX wieku. Sprzęty codziennej ciężkiej pracy. Beczki drewniane do 20.000 litrów pojemności – to towar do sprzedania ale pod kontrolą konserwatora gdy zmienia właścicieli, to beczki o konstrukcji niekiedy 100 – letniej.

Podczas tego spotkania rodziły się pomysły jak i gdzie będą beczki stały, już na małych i większych winnicach i lada rok winiarskich – jak u Czechów, Słowaków, Austriaków. Przy domowym legalnym wytwarzaniu.

A jeszcze młody plantator i winiarz Jarosław Lewandowski z Proczek k/Zaboru częstował już swoim winem czerwonym i białym. I byli starsi pracownicy, ale było im tego końca żal. Ostatków, ostatniej prawdziwej tradycji całkiem odchodzącej z fabryki w przeszłość.

Dla cierpliwych i niezłomnych był pokaz multimedialny, nad którym czuwał red. Tomasz Czyżniewski badacz historii Zielonej Góry pokazując winiarstwo dawne. Przyszłe zmiany jakie wystąpią po wyprzedaży nadwyżek zasobów sprzętów, na powierzchniach fabryki, omówił architekt p. Piotr Kochański pokazując wizualizacje w opracowaniu i do ostatecznego wykorzystania w przyszłości przez firmę właścicielską DASA. I było cool.



Kufa i beka w piwnicach fabryki koniaków, winiaków przy ul. B. Chrobrego – Sulechowskiej, Fot: R. Bryl

Tekst i zdjęcia

Ryszard Bryl



KWARTALNIK LOKALNY

***Klimaty
Łagowskie***

Uprawa winorośli cz.V

Uprawa winorośli w gruncie udaje się w zachodnich, południowych, środkowych i południowo-wschodnich rejonach Polski. Odmiany z grupy wcześniej dojrzewających można uprawiać na terenie całej Polski z wyjątkiem miejscowości nadmorskich i górskich. Dla wszystkich odmian winorośli nieodpowiednie są wyżyny otwarte dla wiatrów północnych, północno-wschodnich i północno-zachodnich, wąwozy, niziny z natury zimne i wilgotne, kotliny mało przewiewne, północne zbocza wzgórz i miejscowości położone w pasach gradowych. Winorośl bardzo dobrze rośnie przy ścianach budynków i altan o wystawie południowej, południowo-zachodniej i południowo-wschodniej oraz na trejażach i pergolach.

Budowa krzewu i pielęgnacja. Winorośl spotykana w uprawie jest krzewem pnącym. Część podziemna (system korzeniowy) składa się z trzech rodzajów korzeni: powierzchniowych, poziomu średniego i podstawowych, tzn. stopowych. Wieloletnią łodygę tworzącą podstawę krzewu nazywamy pniem. W naszym klimacie krzewy winorośli europejskiej wymagają przykrycia na zimę, dlatego wskazane jest, aby pień był niski. Kora na pniu charakterystycznie się łuszczy. Z pnia wyrastają pędy szkieletowe. Pędy owoconośne pojawiają się na pędach zeszłorocznych (łozach). Pędy, które wybiły ze starych gałęzi są mniej płodne. Gałęzie 5-6 letnie wydają pędy bezpłodne albo dające niewielki plon. Łozy długie, grube o długich międzywęźlach też są bezpłodne. Kora na łozie jest gładka, brązowo zabarwiona. Pęd jednoroczny – latorośl – jest zielony. Na pędach jednorocznych z pąków w katach liści wyrastają niekiedy pędy boczne zwane pasierbami. Nadmiar pasierbów osłania owocowanie i rozwój całej rośliny. Gdy pasierb zaczyna formować trzeci liść uszczykujemy go.

U winorośli spotykamy trzy rodzaje pąków: normalnie wykształcone (silne), przynasadowe – rozwijające się przy bardzo krótkim cięciu (słabe) i ukryte, czyli uśpione – umieszczone pod korą, które wydają pędy bezpłodne (rozwijają się zwykle po uszkodzeniu dwóch pierwszych rodzajów pąków).

Przeważnie naprzeciw 4-5 liścia licząc od nasady pędu pojawiają się wąsy służące do czepiania się podpór. Zjawienie się wąsa na pędzie owocującym powyżej kwiatostanu wskazuje na to, że pęd nie wyda już więcej kwiatostanów.

Kwitnienie odmian uprawiających na terenie Polski rozpoczyna się zwykle około połowy czerwca i trwa mniej więcej dwa tygodnie przy średniej temperaturze ok. 17°C (optymalna temperatura wynosi 27°C).



Łągów kierunek na Jemiołów XI.2009 Foto: R. Bryl, mała winnica winogron przerobowych

Masowe opadanie zawiązków jest spowodowane niedostatecznym ich odżywieniem. Zapobiega się temu poprzez przecinanie pędów, umiarkowanie nawożenia, a pośrednio także przez nawadnianie, oczyszczanie z chwastów konkurujących o wodę i składniki odżywcze oraz przez wzruszanie zaskorupiałej powierzchni gleby. Pędy owoconośne przycinamy ponad 6-10 liściem od ostatniego kwiatostanu lub grona.

Przycinanie pędów zastępczych, gdy osiągną 1,5-2 m oraz nawożenie roślin roztworem soli potasowych przyspiesza drewnienie pędów i ułatwia dojrzewanie owoców.

Przygotowanie gleby i nawożenie. Aby winorośl dobrze owocowała podłoże powinno być próchnicze, zasobne w składniki pokarmowe. Odmiany winorośli europejskiej wymagają gleb bardzo ciepłych i suchych, o pH ok. 6,5 a odmiany mieszańców amerykańskich – gleb wilgotniejszych (ale nie podmokłych) o pH 5,5-6,0. Gleby torfowe nie nadają się do uprawy winorośli.

Łubin i saradela przyorana na nawóz przed posadzeniem krzewów mają nie mniejszą wartość nawozową niż pełne nawożenie obornikiem (tj. 4-5 kg/m²). Poza tym korzenie roślin motylkowatych, sięgające głęboko (4-5 m), wpływają korzystnie na strukturę i poprawiają warunki powietrzne gleby.

Co 2-3 lata stosujemy nawożenie organiczne w dawce 3-6 kg/m² obornika lub 5-8 kg/m² torfu niskiego, lub 4-5 kg/m² kompostu oraz (w razie potrzeby) 1-2 kg/m² węgla wapnia. Nawozy podajemy na głębokość 5–60 cm w bruzdę środkową międzyrzędzia lub 30-40 cm w bruzdę boczną (bliżej krzewu). Na 1 m² „plantacji” daje się 5-7 g N w formie siarczku (28% N), saletry wapniowej (14% N) lub saletry sodowej (15% N), 6-12 g K w formie siarczanu potasu (41,5% K) oraz 3-5 g P w formie superfosfatu potrójnego (20% P).

Od redakcji: przypominamy sposób przeliczania dawki czystego składnika na zalecaną dawkę nawozu (patrz wzór):

$$\text{dawka nawozowa} = \frac{\text{dawka czystego składnika} \times 100}{\% \text{ zawartość czystego składnika w nawozie}}$$

Cały azot dostarczamy na wiosnę, a w czasie dojrzewania jagód tylko potas i fosfor w jednej lub kilku dawkach. Krzewy prowadzone pod ścianami poleca się podlewać gnojownicą przefermentowaną (rozcieńczoną wodą w stosunku 1:10) w ilości ok. 10l roztworu na krzew, na 2 tygodni przed kwitnieniem, tj. w połowie czerwca.

Sadzenie. W zależności od zasobności podłoża rośliny sadzimy w rozstawie 1,0-1,5 x 1,5-2,0 m. Winorośl uprawiana bez formowania w szpaler, przy ścianach budynków, sadi się co 3-4 m, a jeżeli są drzwi lub okna to pomiędzy nimi po jednym krzewie.

Przed sadzeniem winorośli należy wykopać dołki o szerokości 40-50 cm i głębokości o 10-15 cm większej niż długość sadzonki. Przy dołkach wbija się paliki. Na dno dołka sypie się warstwę ziemi żyznej (doprawionej), sadzonkę umieszcza się w dołku i zasypuje ziemią mniej żyzną. Potem należy obficie podlać i wokół krzewów usypać koczki wysokości ok. 20-40 cm. Sadząc rośliny zakupione w pojemnikach należy dbać, aby nie uszkodzić bryły korzeniowej. U sadzonek z nagim systemem korzeniowym należy skracać korzenie uszkodzone. Nie zaleca się zaprawiania dołków guzem wapiennym ani tynkiem wbrew opinii niektórych praktyków.

Jeżeli winorośl sadzimy przy altanie dołki powinny być usytuowane w odległości 40-50 cm od ściany. Sadzonki umieszcza się w nich lekko skośnie, z oczkiem skierowanym ku ścianie.

Kopczyki rozgarniamy na wiosnę, gdy krzewy mają 5-6 listków. Wokół rośliny należy wtedy uformować misę do podlewania. Na przedwiośniu każdy nowo posadzony krzew przecinamy ukośnie 2-3 cm nad ostatnim oczkiem tak, aby miał on 2-3 dobrze wykształcone pąki nie licząc oczek przynasadowych. Na początku czerwca usuwamy wszystkie słabe pędy, pozostawiając 2 lub 3 najsilniejsze. Chroniąc pędy przed wyłamywaniem przywiązujemy je do palików na tzw. ósemkę. W końcu sierpnia końce pędów uszczykujemy w celu przyspieszenia drewnienia. W tym czasie też stosuje się słabe nawożenie potasem. Jesienią, przed mrozami, odwiązujemy pędy od palików, przyginamy i przykrywamy 30-40 cm warstwą ziemi.

Przywiązanie krzewów, uszczykiwanie ich wierzchołków, zwalczanie chorób grzybowych i przykrywanie na zimę wykonuje się w następnych latach tak samo, jak w pierwszym roku. Kilkuletnich pędów odmian odpornych na mrozy nie trzeba przykrywać ziemią.

Cięcie i formowanie krzewów. Winorośl owocuje na pędach tegorocznych, wyrostłych na łozie zeszlenczonej z czopów lub dwuletnich ramion. Łozy owocujące tworzą więcej kwiatów i owoców gdy kierunek ich wzrostu jest bardziej poziomy dlatego pędem zastępczym nadaje się kierunek pionowy. Silny wzrost osłabia owocowanie, więc krzewy silnie nie się słabiej (pozostawiając dłuższe pędy), by nie pobudzać ich do wzrostu, zaś słabsze tniemy silniej (pozostawiając krótsze pędy). Im niej jest winogron na krzewie, tym są one dorodniejsze i wcześniej dojrzewają. W Polsce cięcie winorośli przeprowadza się zwykle w dwóch terminach: jesienią cięcie wstępne i wiosna właściwa. Ciąć należy albo przed ruszeniem wegetacji, by nie dopuścić do tzw. płaczu winorośli tj. długotrwałego wypływania soków z rany, albo na początku czerwca, gdy płacz winorośli ustaje.

Najlepiej wykorzystuje nasłonecznienie **forma szpalerowa**. Na mury i ściany najlepiej nadaje się stały **sznur pionowy**.

Formowanie winorośli na tzw. **głowę z czopkami** stosuje się głównie w uprawie przy słupkach lub przy drutach. Przez pierwsze 3-4 lata wycina się pędy bardzo krótko zostawiając tylko oczka przynasadowe. W ten sposób formuje się tzw. głowę. W 4 lub 5 roku na wiosnę wybiera się 4-6 łóz i przycina na czopki 2-oczkowe (nie licząc tzw. pąków przynasadowych). Wszystkie pozostałe wycina się. Po owocowaniu w roku następnym wycina się wszystkie górne łozy, a dolne przycina się na czopki 2-oczkowe. W lecie wycina się pędy wybijające z oczek uśpionych.

Poziome sznury Guyota stosowane są w uprawie przy drutach lub wzdłuż płotów i niskich murów. Mogą być jedno lub dwuramiennie. Ramiona odmładza się co roku. Wśród 3 wybranych łóz jedną wycina się zupełnie, drugą przycina się na ok. 7 oczek, a trzecią na czopek zastępczy o 2-3 oczkach. Łozę owocującą przygina się na wiosnę poziomo o przywiązuje do drutu. Następnego roku po odkryciu wycina się zbędne łozy, które w poprzednim roku owocowały, a z 2 zastępczych górną silniejszą przycina się jak poprzednio na owocowanie, a dolną na 2-3 oczka zastępcze. Jeżeli ramię chcemy zostawić na stałe to jednoroczne łozy przycinamy na 2 oczka – górne oczko na owocowanie, dolne na pęd zastępczy.

Odmiany winorośli, w zależności od charakteru wzrostu i owocowania, tnie się krótko (2-3 oczka), średnio długo (4-5 oczek) i długo (6-7 oczek) licząc tylko oczka dobrze rozwinięte.

mgr J. Sękowska

Dziur więcej niż asfaltu!

- Żółwiem czy tygrysem? Cz. II

Od kilku lat pytałem pisemnie starostwo powiatowe w Świebodzinie o realne branie pod uwagę poważnej decyzji naprawy dróg powiatowych Łągów – Jemiołów i Żelechów – Łągów. A przecież jeszcze pozostaje Toporów. Oczywiście jest, że problem był i pozostaje – dróg nie naprawiono, nie przebudowano, czas upływa, zagrożenie i śmierć w wypadkach drogowych stała się faktem.

Nadal oczywiście jest, że muszą się znaleźć środki finansowe w budżecie, dotacje, prognozy - ale tak jest każdego roku wszędzie. Nie jest niczym nowym stwierdzenie, że propozycji i oczekiwań jest więcej niż pieniędzy w budżecie, że inni też czekają...

Pierwszą częścią i najkrótszą, już zrobioną na dobrym poziomie tej powiatowej drogi Łągów – Jemiołów, to ok. 300 metrowy odcinek od Posterunku Policji ulicy Sulęcińskiej, do siedziby Parafii Łągów ks. proboszcza N. Nowaka. Ten odcinek ulicy już kilka razy poprawiany, na poboczu 7 lamp świecących nocą, jednostronny, równy, dobry



Tutaj wszystko widać – czego zabrakło, decyzji, asfaltu, kamienia a może rury – to „kawał” Os. Lecha dla wszystkich, Foto: R. Bryl IX/09

chodnik za linią drzew pobocza, porządna, szeroko uformowana nawierzchnia asfaltowa, studzienki odbierające nadmiar wody opadowej i z wiosennych roztopów. Dalej do Jemiołowa brak wszystkiego co wyżej napisano. A mamy przecież XXI wiek, przybyło i przybywa ludzi, mieszkańców, użytkowników tej drogi, pojazdów pieszych i dzieci w różnym wieku. Przybyło przede wszystkim domów, przybędzie ich jeszcze, jest więc potrzeba zabezpieczenia i rozdzielania ruchu drogowego i pieszych, poprzez stworzenie jezdni i chodnika... Chodnika, poboczy drogi uporządkowanej, drogi rowerowej jako czegoś normalnego dla całorocznego bezpiecznego poruszania się, oświetlenia tego obszaru zabudowanego do

tablicy z napisem łągów, a nawet dalej, do budowanego zespołu boisk sportowych. To tak trzeba widzieć przyszłość i realny plan drogowych zmian – postępu lokalnego.

Jakaż inna może być stara nawierzchnia drogi, gdy będzie kolejna inwestycja sportowa, kolejne nasilenie pojazdami, gdyby nic nie zrobiono w 2010 - pozostałaby ohydna droga powiatowa 1963 – 2010. Wówczas w pierwszych latach lat 60 –tych kładziono dotychczasową nitkę asfaltu, gdy kładziono podwaliny pod wieże radiowo – telewizyjne k/Jemiołowa, a na słupach drewnianych świeciły lampy pokazujące drogę.

Nową istotą tego rozważania publicznego jest to, że oświetlenie po nowemu trzeba uruchomić, drogę zbudować, przebudowując pobocza, poszerzając ją, ustalając ostatecznie w projekcie co jest potrzebne, a co zbędne przy drodze (zakrzaczenia, nasypy, nawisy piasku zawężające pożądaną szerokość).

Najbliższe 900 – 1000 metrów licząc od Plebani, to odcinek najbardziej nachylony, z największą ilością zakrętów zawartych w pięknej alei starych dębów. To na tym odcinku jest najwięcej do zrobienia - do zrobienia jest wszystko od nowa, to tutaj na tym odcinku i dużym nachyleniu były rowy odbierające nadmiar wody i ich nie ma teraz. Pozostałości rowów są wieloletnio zaniedbane i nieprawidłowo wykorzystane?! W rowach położono „nowe” coś, uznając chyba przedwcześnie, że opady lecą do góry i się dematerializują, a one zawsze w dół płynąć będą, szczególnie gdy będą obfite...

Za linią drzew alei dębów na całym kilkusetmetrowym odcinku jest duża możliwość na budowanie samodzielnej, bezpiecznej ścieżki rowerowej, czy rowerowo – chodnikowej.

Tylko niedokończenie lokalnych, gminnych inwestycji może być powodem



Zjazd stromy do rynny j. Czarnej Wody od strony łągowa
- j. Czarne – j. Małe, kierunek Żelechów

zwleknięcia, odkładania potrzebnych prac i ich realizacji 2009 – 2010 aby bezpiecznie porządkować temat dróg. Pieniądze powinny się ostatecznie znaleźć!

Wspomniana droga powiatowa, to wstydliwe w sezonie letnim, w turystyce samochodowej, rowerowej, pieszej, miejsce nasilonej wędrówki do obiektów Centrum Radiowo – Telewizyjnego, do użytku ekologicznego Barcikowo, do Jemiołowa tylko, i do terenów poligonowych za Jemiołowem, to także dotarcie do początków źródeł jeziora Trześniowskiego, góry Bukowiec i Gorajec etc., itp.

Droga gminna Łągów – Łągówek na obiecany odcinku, już po zakończeniu budowy, niezwłocznie przejmie zadania ulicy i drogi bezpiecznej z chodnikiem ułatwiając docieranie całoroczne do nowo zbudowanych działek budowlanych, prywatnych. Tutaj też przybywa mieszkańców, wzrasta ruch pojazdów i pieszych.



Wyjechaliśmy na prostą z Łągowa do Żelechowa, ostatnie żywe drzewa alei jabłoniowej, b. zaniedbane. Dużo tutaj do roboty fachowej jest!

Foto: R.Bryl XII/09

Tereny PKP – nieczynnej od ponad 10 –ciu lat, to szpetny kolejowy teren. Tutaj dotąd nie ma szczęścia Łągów u monopolisty jakim jest ciężkawe PKP.

Może złożone razem walory uzdrowiskowe, wody lecznicze, ukształtowanie terenu, naturalnie czyste jeziora, duże tereny leśne to rozwój okolicy. Może tak będzie. Oby to co opisuje, dało się powoli realizować. Otóż Łągów 2010 staje przed kolejnym sezonem

turystycznym, zapewne trochę innym niż 2009, 2008, 2007. Jaki to będzie rok, jaka realizacja lokalnych możliwości, pokaże czas. Łągów 2010, do czerwca widzę czytelny, oznakowany po europejsku i choć to nadal wieś, to tablice, napisy są już w 2-3 językach, ludzie pogodni, mający choćby pracę sezonową. To fakt, że robi się sporo w Łągowie i okolicy, ale to ciągła walka – gdzieś zwalniają, aby w innym miejscu przyjmować. Mieszkańcy muszą cały czas wiedzieć, co robić, czy samemu być przedsiębiorcą, czy łączyć się z nową, napływającą inicjatywą finansową. Gdyby był zastój, to byłoby kurczenie się lokalne miejscowości – tak nie jest. I to dobrze. Odcinek drogi powiatowej Łągów – Jemiołów, od boiska sportowego w kierunku do Jemiołowa to rzeczywiście lepsza już nawierzchnia, już poprawiona, ale nadal wąska, do przebudowy i może być wykonana w latach następnych, ale przy założeniu i fakcie, iż nie na wszystko wystarcza w jednym roku. Stąd oczekujemy na decyzje i podział środków finansowych w budżecie 2010 roku.

Tekst i zdjęcia: Ryszard Bryl

„Dożynki – promocja wsi”.



Wieniec dożynkowy wykonany przez mieszkańców Kłodnicy.

Święto przypadające na 15 sierpnia – dawniej obchodzono jako dzień Matki Bożej Dożynkowej, bo zgodnie z rolniczym kalendarzem „Na Wniebowzięcie pokończone żęcie”- zawiera wiele treści teologicznych, kulturowych i obyczajowych. Natomiast obrzędowość ludowa wiąże ten dzień ze święceniem płodów rolnych i ziół, będących symbolami bogactwa przyrody, stąd druga popularna nazwa tego święta – uroczystość Matki Boskiej Zielnej (tak pisze Hanna Szymanderska w książce Pt. „Polskie tradycje świąteczne”). Przed świętami dziewczęta wiły „brogi” – duże wieńce, jako podziękowanie za tegoroczne zbiory. Brogi przygotowywano z ostatnich kłosów zzynanych uroczystie na zakończenie żniw. Te garście koszonego zboża miały swoje nazwy: przepiórka, fonka, dziad, stary, bękart, baba, broda, pępek, koza, bęks. Takie same nazwy nosiły stare polskie zabawy związane ze ścinaniem ostatnich kłosów. Brogi czasem były tak duże, że wieziono je do kościoła na drabiniastym wozie, a świecono razem z mniejszymi wieńcami i bukietami ziela na uroczystej sumie. Zbożom przypisywano niezwykle znaczenie i w obrzędowych poczynaniach odgrywały one doniosłą rolę. W zbożu – „najszlachetniejszym owocu pól”- wszystko jest symbolem życia,

dostatku i plonów, od nasienia po kłosy. Na św. Wawrzyńca, czyli 10 sierpnia należało poświęcić masło i miód. Częstując nimi domowników, gospodarz powtarzał słowa:

„Przez przyczynę świętego męczennika,
Chroń Boże pszczołki od szkodnika”.

Po żniwach, każdy mógł odpocząć, gdyż:
„Matki Boskiej Zielnej każdy chodzi cielny”.

Wespazjan Kochowski już w 1693 roku w „Psalmodii Polskiej” pisał:

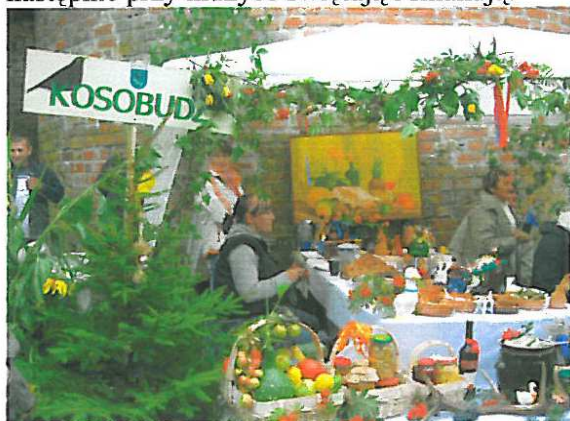
„Panie! Za to dziękować ci trzeba,

Żeś gębiej mojej dał dostatek chleba”.

Po uroczystościach kościelnych, następowały dożynki organizowane przez dziedzica lub samych gospodarzy. Zbierano się przy stołach w ogrodzie, a na klepisku w stodole odbywały się tańce. Potrawy bywały przeróżne, a to: ziemniaki z wrotyczem okraszone boczkiem, zapiekany w piecu chlebowym morszczuk, comber barani na winie, pieczona kaczka z ziołami: tymiankiem, bazylią, piołunem, rozmarynem i miodem; a do mięs serwowano rozgotowany rabarbar z przyprawami.

Dożynki w naszej gminie są obchodzone od lat, kiedy to jeszcze była gmina typowo rolnicza. Obecnie istnieją małe gospodarstwa rolne np. w Łągówku, gdzie wczasowicze mogą zobaczyć konie, krowy, małe świnki i kupić mleko i jajka. Są to gospodarstwa

agroturystyczne, które zarabiają na turystach, nocując ich i karmiąc produktami z własnych ogródków. Tradycja dożynkowa przetrwała i jest kultywowana dzięki pomocy Urzędu Gminy. Dożynki gminne przez ostatnie lata odbywają się w Łagowie. Do parku zamkowego zjeżdżają mieszkańcy sołectw, na pięknie udekorowanych straganach, wystawiają wiejskie przysmaki, święcą w kościele wieńce i kosze dożynkowe, a następnie przy muzyce świętują i smakują.



Stragan Kosobudza.

Powracają do łask konkurencje wiejskie: rzucanie snopkami, młócenie zboża na czas, zbieranie ziemniaków, wiązanie snopków. W czasie turnieju między wsiami, okrzykom i śmiechem nie ma końca. Najlepsze stoisko, drużyna, wypieki, otrzymują nagrody. Dożynki kończą się zabawą na świeżym powietrzu, w której biorą udział wszyscy mieszkańcy gminy, zaproszeni goście i przyjezdni wczasowicze.



Festyn dożynkowy w Pożrzadle.

Poszczególne sołectwa organizują u siebie festyny z okazji dożynek. W dniu 13.09.09 r. w Pożrzadle świętowano zakończenie lata. Gospodynie przygotowały pyszne potrawy: własne wypieki, żur i pierogi a także zupę gulaszową oraz bigos wiejski z grzybami.

Dla dzieci zorganizowano konkurs plastyczny „Nasza wieś artystyczna”; dla młodzieży

turniej piłki siatkowej, a dorośli brali udział w konkurencjach rekreacyjno sportowych.



Przeciąganie liny – Pożrzadło.

Festyny organizowane w sołectwach mają za zadanie nie tylko bawić mieszkańców i wczasowiczów, ale również promować wieś: jej symbole (herb, piosenkę o tej wsi), atrakcje turystyczne, własne potrawy, stroje (w Pożrzadle przetrwały tradycje łemkowskie, dzieci uczą się języka łemkowskiego na specjalnych lekcjach, noszą stroje góralskie).



Święto Drwali w Niedźwiedziu.

Każde sołectwo powinno znaleźć własny pomysł na promocję. W Niedźwiedziu są znane w całej Polsce „Zawody Drwali”. Sołectwo Jemiołów posiada „Skansen Maszyn Rolniczych”, Pożrzadło ma Galerię Antyków, Sieniowa – KWB i zespół „Sieniawianki”, Łapówek „Bajkowe ogródki agroturystyczne”, Kosobudz jest prawdziwym „Rajem”, Kłodnica posiada prawdziwych artystów; Toporów kiedyś słynął ze słynnego „Święta indyka”,-może warto do tego wrócić?

Tekst i zdjęcia: Anna Gabrys

NASZA SZKOŁA – NASZA KLASA – ROCZNICA SZKÓŁ

Ze wspomnień Sulechowian

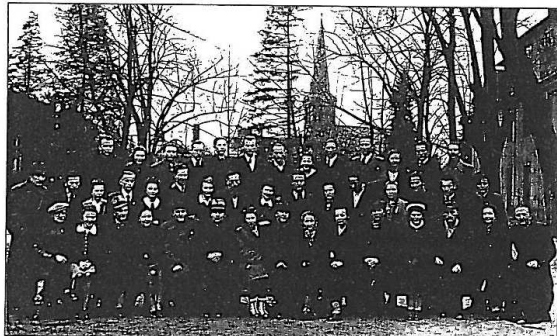
Początki Liceum Pedagogicznego w Sulechowie - lata 1945 - 1949 cz.II

W 1945 roku, zimą, w działającym już Miejskim Gimnazjum oraz powstającym Liceum Pedagogicznym pracowali następujący nauczyciele: państwo Janina i Antoni Maćkowiakowie, pan Michał Urbanowicz, pan Piotr Grebieniow, pan Józef Miodek, pani Helena Łempicka, pan Jan Zeman, Ks. Michał Kaczmarek oraz woźny Antoni Matysiak.

Posługiwano się jeszcze - aż do 1946 roku - okrągłą pieczęcią o następującym brzmieniu: "Państwowe Koedukacyjne Liceum Pedagogiczne w Wolsztynie".

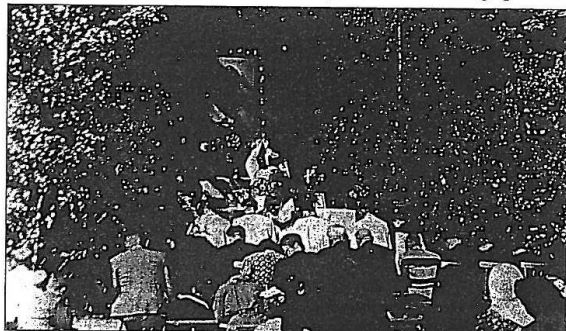


Legitymacja mojego ojca Jana Zemana z 1946 roku - z tą właśnie pieczęcią.

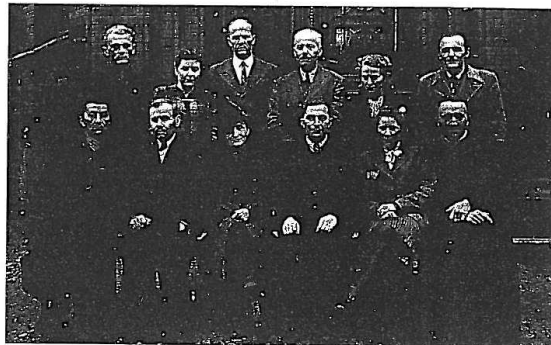


Pierwsi licealiści ze swymi nauczycielami - jesień 1946 rok. Siedzą od lewej: trzeci Bolesław Hejduk, piąty Jan Zeman, szósty Piotr Grebieniow, siódma Anna Peterówna, ósmy Antoni Maćkowiak (?), ostatni ks. Eugeniusz Ciszewski (tyle osób rozpoznaje).

Wiosną 1946 roku odprawiono Mszę świętą, połową i poświęcono Gimnazjum Miejskie oraz powstające Liceum Pedagogiczne.



Oto zdjęcie z tej uroczystości zachowane przez mego ojca.



Pierwsze zdjęcie grona pedagogicznego - (stoją od prawej - 1. Jan Zeman (uczył w latach 1945 - 49), 2. Anna Peterówna (uczyła w latach 46 - 50), 3. ?, 4. ?, 5. Józefa Kropidłowska (uczyła w latach 1947 - 50), 6. Bolesław Hejduk (uczył w latach 1946 - 70), siedzą od lewej - 1. ?, 2. Piotr Grebieniow (uczył w latach 1945 - 52), 3. i 4. Janina i Antoni Maćkowiakowie (uczyli w latach Janina 1948 - 50, Antoni 1945 - 50), 5. Kazimiera Ludwiczakówna (uczyła w latach 1946 - 50), 6. Ks Eugeniusz Ciszewski (uczył w latach 1946 - 49).

W tym też czasie powstaje przy liceum Rejonowa Komisja Kształcenia Nauczycieli (liceum zaoczne).

W roku szkolnym 1946 - 47 przybyło w liceum nauczycieli - pani Kazimiera Ludwiczak, Ks. Eugeniusz Ciszewski, pani Anna Peterówna, pan Józef Tobiasz, pan Edmund Ciesielski, pani Jadwiga Przybylska, pan Bolesław Hejduk. Klasy gimnazjalne zostały zlikwidowane i pełną parą ruszyło 4-ro klasowe (wciąż się rozrastające) Liceum Pedagogiczne. Zaczęto też organizować bibliotekę szkolną.

Od jesieni 1945 roku młodzież pomagała w porządkowaniu i remontach (budynku dydaktycznego, internatu, mieszkań dla nauczycieli oraz sali gimnastycznej) oraz gromadzeniu dziesiątków ton niemieckich książek i wydawnictw encyklopedycznych (także "Larousse") znajdujących się w pobliskich szkołach, willech i domach (mój ojciec twierdził, że te książki i ich ilość świadczyły o wysokim poziomie intelektualnym byłych mieszkańców Sulechowa i jego okolic). Wywożono je pociągami w stronę Leszna. Niewielką ilość książek (o wartości historycznej) przekazano Uniwersytetowi Poznańskiemu. Ojciec, znający język niemiecki, do końca życia żałował tych książek. Wielokrotnie, wracając do tego tematu powtarzał mi: "gdybym wiedział, że w roku 1951 zostaną powołany do organizowania Biblioteki Pedagogicznej w Zielonej Górze to zwróciłbym się do ówczesnych władz szkolnych o możliwość zmagazynowania wielu setek z nich (np. encyklopedii, słowników literatury i poezji..." (Sulechów należał do II, a w latach 1933 - 45 do III Rzeszy).

Młodzież pomagała też w zdobywaniu mebli z pobliskich szkół, willi i opuszczonych przez Niemców domostw (łóżek do internatu, ławek i krzeseł oraz biurka do budynku dydaktycznego, szaf, stołów itp.). Ojciec wspominał, że była to "niesamowita akcja - codziennie ktoś coś przywoził lub przynosił ku ogólnej radości nauczycieli i uczniów. Uporządkowano też z czasem piękny, stary park i wybudowano boisko sportowe, które służyły również uczniom powstałej w 1946 roku Szkoły Ćwiczeń (której organizatorem i pierwszym kierownikiem - 1945 - 48 - był pan Aleksander Poczykowski.

CDN

Maria Kuszneruk mieszkanka Sulechowa 1945 - 1972
Bełchatów, listopad 2008 - styczeń 2009

To już 55 lat Liceum Ogólnokształcącego w Sulechowie

W codziennym szkolnym zabieganiu o zdobywanie i przekazywanie wiedzy nie przywiązujemy wagi do przemijania. Uczniowie i nauczyciele nie dostrzegają, iż są kolejnym ogniwem historii szkoły. Idą w świat... Po latach wracają myślami do swojej szkoły, do tamtych chwil...

Zjazd absolwentów, zorganizowany w naszym liceum po raz trzeci, był okazją do odnowienia przyjaźni, wymiany refleksji, spojrzenia wstecz.

W sobotę 10. października 2009 roku okazało się, że czas i przestrzeń można cofnąć, a my wszyscy przybyliśmy w mury szkoły, aby dokonać tego cudu...

Uroczystości jubileuszu rozpoczęły się o godz. 11.00 Mszą Św. w Kościele Parafialnym pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego w Sulechowie odprawianą przez pierwszego księdza katechetę Andrzeja Drućla oraz obecnego Ryszarda Stankiewicza.

Po myśwy w wyremontowanej sali gimnastycznej liceum przy ulicy Żeromskiego odbyło się uroczyste spotkanie gości, nauczycieli byłych i obecnych, dyrektorów, pracowników, a k t u a l n y c h

uczniów oraz absolwentów. Każdy z przybyłych gości i absolwentów otrzymał wydawnictwo okolicznościowe poświęcone szkole, nauczycielom, pracownikom i absolwentom. Wydawnictwo opracowała nauczycielka i absolwentka LO Anetta Rosomacka.

Po powitaniu znamienitych gości uroczystość otworzyła pani Halina Szelać, Dyrektor liceum. Wspominaliśmy zmarłych Dyrektorów, nauczycieli i absolwentów. Pamięć ich uczciliśmy minutą ciszy. Następnie głos zabrali emerytowani dyrektorzy pani Krystyna Orwat i pan Teodor Kwaśnik. Podczas uroczystości wystąpili:

- przedstawiciel Lubuskiego Kuratora Oświaty, pani wizytator Beata Wiśniewska,

- przedstawiciele władz powiatowych, pani Irena Podsiadły, Brygida Wróblewska i Marek Szarlata,

- reprezentant władz gminnych, Zastępca Burmistrza, pan Mirosław Andrasiak,

- przewodniczący Rady Rodziców, pan Marian Janusz,

- pierwszy maturzysta rocznik 1958, pan Kazimierz Adamczak,

- absolwentka, pani profesor doktor habilitowana Pola Kuleczka,

- najmłodsza absolwentka, maturzystka z 2009 roku, Natalia Góźdz,

- prorektor PWSZ w Sulechowie pani doc. dr inż. Izabela Wojewoda,

- przedstawiciel 5. Pułku Artylerii pan podpułkownik dyplomowany Robert Majdecki,

- przedstawiciel inspektoratu PZU

ra Majewska - Durda i Henryk Brudło. Kolejna część uroczystości 55-lecia liceum odbyła się w budynku liceum, gdzie spotkali się absolwenci ze swoimi wychowawcami i nauczycielami. Młodzież i nauczyciele wykonali jubileuszową dekorację, przygotowali także poczęstunek. Absolwenci z wielkim zainteresowaniem oglądali w szkole klasowe tabla, wystawione na korytarzu, w auli i klasach, archiwalne zdjęcia, na których rozpoznawali siebie, zdjęcia z poprzednich zjazdów, zaglądali do klas, do kronik szkolnych.

Oglądali twórczość obecnych uczniów pokazaną na gazetkach ściennych; ich zdjęcia i plakaty.

Ostatnią częścią uroczystości jubileuszu był bal absolwentów w hali sportowej UKS „Trójka” przy ulicy Piaskowej 52. Do tańca grał zespół Aneks. Goście, dyrektorzy, nauczyciele i absolwenci bawili się do białego rana, wspominając swoje szkolne lata...

Obchody jubileuszu szkoły zawdzięczaliśmy długiej i wyteżonej pracy Komitetu Organizacyjnego, w skład którego wchodził: Henryk Brudno, Kazimierz Dach, Aleksandra

Domejko - Drzyzga, Beata Leśniak, Danuta Leśniak, Barbara Majewska - Durda, Anetta Rosomacka, Halina Szelać i Lucjan Zańko.

Do pomocy w organizacji zjazdu włączyli się absolwenci, nauczyciele, pracownicy, uczniowie, rodzice i wielu życzliwych, wspaniątych ludzi.

Mury Liceum Ogólnokształcącego w Sulechowie opuściło ponad 4800 absolwentów. Zjazd absolwentów odbył się po raz trzeci. W 1994 roku świętowaliśmy obchody 40. lecia szkoły. 50. lecie Liceum Ogólnokształcącego w Sulechowie odbyło się w roku 2004. Ilość przybyłych gości i absolwentów pobiła rekord, było nas wówczas ponad 700 osób. Tym razem obchodziliśmy 55. lecie powstania liceum, przybyło około 320 absolwentów. Zjazdy absolwentów stały się tradycją naszej szkoły i mamy nadzieję spotkać się na obchodach 60. lecia szkoły w roku 2014.

Barbara Majewska - Durda



Absolwentem LO jest Mirosław Andrasiak Zastępca Burmistrza Sulechowa - na pierwszym planie, pierwszy od prawej.

w Sulechowie pan Edward Oczujda, - wiceprezes oddziału ZNP w Sulechowie Anita Małolepszy i wielu innych gości.

Wspomnieniom, podziękowaniom, zadumie nad mijającym czasem nie było końca.

Nasi absolwenci cieszyli się, że są razem, dziękowali serdecznie swoim profesorom za wszystko. Chciałabym, aby młodsze pokolenie tak ciepło i wzruszająco wspominało swoich dzisiejszych nauczycieli, jak dawni absolwenci. Uroczystości uświetniali swoimi występami uczniowie liceum i absolwenci: Kasia Jankowska, Ada Cieplicka, Marta Ceremuga, Klaudia Górkiewicz oraz Adrian Karczmarek, Oskar Sulkowski i Wojtek Żabiński. To oni wprowadzili nas także w nastrój wspomnień, a hitem okazała się piosenka „Kto za tobą w szkole ganiał” z repertuaru „Czerwonych Gitar”.

Oficjalną część obchodów prowadzi już po raz trzeci absolwenci: Barba-



Warszawskie „okno życia” poświęcone przez arcybiskupa Kazimierza Nycza 6 grudnia ubiegłego roku Kościół – podobnie jak pozostałe – otworzył z pompą i sporym entuzjazmem

DZIECI NICZYJE ANNA SZULC

Dwie strony okna życia

Tuż przed Wielkanocą kolejny biskup poświęcił kolejne „okno życia”. Tymczasem wielu fachowców uważa, że dziecko położone w oknie i tak zapewne nie wylądowałoby na śmietniku

Po wewnętrznej stronie „okna życia” jest przytulnie. Na ścianach namalowano misie albo aniołki. W pokoju stoi kołyska, są czule zakonnice.

Po zewnętrznej stronie okna jest dzwonek. To jego dźwięk uruchamia ciąg zdarzeń, których głównym bohaterem jest anonimowo porzucone dziecko. Bo zgodnie z zasadą przyjętą przez pomysłodawców „okna życia” o dziecku i jego matce nikt nie wie.

Skok w bok

– Z tego właśnie powodu nasze okna mają sens – wyjaśnia „Przekrojowi” ksiądz doktor Zbigniew Sobolewski, sekretarz Caritas Polska, który do końca roku zamierza zwiększyć liczbę polskich okien z 14 do 24. – W oknach zostawiają dzieci te kobiety, które z różnych powodów ukrywają ciążę przed otoczeniem. Gdyby naszych okien nie było, porzuciłyby dziecko gdziekolwiek.

– Kobieta, która decyduje się oddać dziecko oficjalnie, czyli na przykład jeszcze na porodówce, musi sędownie zrzec się praw do niego – zwraca uwagę Barbara Passini, dyrektorka Krajowego Ośrodka Adopcyjno-Opiekunczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. – Ale i tu najczęściej pojawia się problem, ponieważ praw zrzec się musi również ojciec.

– A zrzec może się ten, kto o dziecku wie. Tymczasem bywa, że nie ma o niczym pojęcia – mówi Passini. – Na przykład wtedy, gdy pojechał do pracy za granicę, a żonie zdarzyły się skok w bok i niechciana ciąża. W takim przypadku zdesperowana kobieta jest w stanie zrobić wiele, by nie zrujnować sobie małżeństwa. Niestety, może nawet zabić.

Kocham cię. Przepraszam

Marysia jest jednym z dziesięciorga dzieci, które trafiły do pierwszego „okna życia” uruchomionego w Polsce – trzy lata temu otworzyły je siostry nazaretanki w Krakowie. Obok pieczolowicie owiniętego w kocyk dziecka

w schludnym ubranku, z pamperssem znalazła się kartka: „Kocham cię. Przepraszam. Mama”.

– Jestem przekonana, że kobieta, która z taką czułością oddaje swoje dziecko, nigdy nie zostawiłaby go na wysypisku śmieci, nigdy nie skazałaby go na pewną śmierć. Dzieci bowiem trafiają na śmietnik z reguły wtedy, gdy matka jest w szoku poporodowym lub gdy pochodzi ze środowiska patologicznego – uważa Zofia Dłutek, dyrektorka Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w Warszawie. – Taka matka, wiem to z doświadczenia, nie myśli o ubrankach i pampersach. I nie zostawia listów.

Zofia Dłutek, która adopcjami zajmuje się już od kilkunastu lat, nie jest zwolenniczką otwierania „okien życia”. – Są przejawem braku systemowej pomocy państwa dla rodziny w kryzysie. Zamiast zapobiegać porzuceniom, wspierać kobiety, gdy zachodzą w niechcianą ciążę, pokazywać sposoby wyjścia z trudnej sytuacji, podsuwa się im możliwość wrzucenia dziecka do „okna życia”, co jest jedynie gaszeniem pożaru – twierdzi. Podobnie →



Dziecko NN, które do szpitala trafiło w 2006 roku, wprost z pierwszego polskiego „okna życia” u siostr nazaretanek w Krakowie, nigdy zapewne nie dowie się, kim była jego prawdziwa matka

→ uważa psycholog Dorota Polańska, dyrektorka Interwencyjnej Placówki Opiekuńczej w Otwocku założonej przez Fundację Rodzin Adopcyjnych z Warszawy, do której trafiają między innymi dzieci z „okien życia”.

Pacjent nieznany

Jakie są argumenty tych, którzy wątpią w sens otwierania „okien życia” dla noworodków? Noworodków takich jak Zygmunt, który jako pierwszy pod koniec ubiegłego roku zawitał do „okna życia” w Warszawie.

Zygmunt jest śliczny, ma kręcone włoski i nowych rodziców. Po drugiej stronie okna pojawił się mniej więcej w czasie, gdy u innych dzieci pojawiał się Święty Mikołaj. Sam stał się mikołajkowym prezentem dla pewnej bezdzietnej pary ze stolicy – jak temu małżeństwu dziś się wydaje. – Za chwilę może się okazać, że dziecko jest ciężko chore na rzadkie schorzenie genetyczne, którego leczenie wymaga poświęcenia i pieniędzy – wyjaśnia Dorota Polańska. – Może gdyby lekarze wykryli chorobę wcześniej, nie rozwinęłyby się wcale. Ale dziecko nie mogło być przecież gruntownie przebadane.

Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze – dlatego że nie wiadomo, jakie obciążenia rodzinne miał Zygmunt, bo jest przecież tak zwanym dzieckiem NN. Lekarze nie wiedzą nawet, jak przebiegały narodziny chłopca, na przykład czy urodził się w terminie (a inaczej wygląda diagnostyka wcześniaków). Jeśli dziecko z okna będzie miało szczęście, trafi do życziwe-

go mu i hojnego szpitala. Takiego jak Instytut Matki i Dziecka.

– Dziecko bez nazwiska jest dla lekarzy kłopotliwe, bo to pacjent bez PESEL-u, za którego nikt nie chce płacić – wyjaśnia profesor Ewa Helwich, kierownik Kliniki Neonatologii IMiD, krajowy konsultant w dziedzinie neonatologii.

W Instytucie dzieci NN akurat badane są wnikliwie, a koszty ich diagnostyki wpisywane są w straty szpitala. – Nawet nie próbujemy odzyskiwać pieniędzy z Narodowego Funduszu Zdrowia, bo i tak nie mamy żadnych szans – przyznaje profesor Helwich. Zdaje sobie sprawę, że w większości polskich szpitali właśnie z braku środków dzieci anonimowych matek mogą liczyć wyłącznie na podstawowe badania. Byłoby inaczej, gdyby matka, oddając dziecko, ujawniła swoje dane. – Ale w „oknie życia” jej danych nikt się nie domaga – mówi Dorota Polańska. – Oznacza to również, że decyzja kobiety jest dla niej właściwie nieodwracalna.

Bo gdy kobieta zostawia dziecko w szpitalu, ma jeszcze kilka tygodni na to, by zmienić decyzję*. Zrzeczenie się dziecka sądownie może mieć bowiem miejsce dopiero po upływie sześciu tygodni od jego urodzenia.

– I często tę decyzję zmienia – zapewnia Zofia Dłutek, która po przeanalizowaniu zachowania kobiet, które w ciągu ostatnich lat oddawały dzieci do jej ośrodka, wyliczyła, że rocznie 13 procent matek pierwotnie zdecydowanych porzucić potomstwo wraca po dziecko. A mat-

ka, która odda dziecko do „okna życia”, takiej szansy już nie ma.

– Co więcej, może się zdarzyć, że ktoś, na przykład konkubent, porwie dziecko i odda je bez wiedzy kobiety do „okna życia” – irytuje się Dorota Polańska. I zauważa, że to, co według Kościoła jest największym atutem okien, czyli ich anonimowość, jest również największą wadą. – Dla dziecka to brak szans, by dowiedziało się, skąd pochodzi – podkreśla psycholog. – A przecież gdy dorośnie, być może będzie chciało poznać swą tożsamość. Niezwykle trudno będzie mu wtedy wytłumaczyć, że jego matką jest... okno w klasztorze. Tym bardziej że dzieci adoptowane na ogół wybaczą biologicznym rodzicom i chcą ich poznać.

W lutym pomysłowi otwarcia okna we Wrocławiu przeciwstawił się ksiądz Stanisław Paszkowski, duszpasterz rodzin na Dolnym Śląsku, bo jego zdaniem okna przyczyniają się do choroby sieroczej. Przy dzieciach NN procedura adopcyjna trwa na ogół dłużej niż zwykle. Co więcej, anonimowość matki, która zostawia noworodka w „oknie życia”, jest niezgodna z międzynarodową konwencją praw dziecka, która nakazuje państwu i wszelkim podległym mu instytucjom uczynić wszystko, by dziecko miało możliwość poznania swoich korzeni.

– To może i prawda – przyznaje Barbara Passini z Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. – Ale wciąż nie jesteśmy pewni, czy gdybyśmy zamknęli „okna życia”, matka wybierze szpital czy śmietnik. I póki pewności mieć nie będziemy, nie róbmy wokół okien wielkiego hałasu.

Problem też w tym, że obok „okien życia”, które Kościół chciałby otworzyć w nawet co drugiej polskiej diecezji, ich twórcy rzadko wieszają informację, jakie korzyści dla dziecka i matki ma zrzeczenie się przez rodziców praw do potomstwa otwarcie, czyli sądownie, w szpitalu. Przy polskich „oknach życia” wieszają za to gorącą zachętę dla matki, by skorzystała z parapetu. □

Krakowska policja notowała nawet osiem śmiertelnych poruceń dzieci roczne. W ubiegłym roku, po otwarciu „okna życia”, nie było ani jednego



Przewodnik Mówimy
TOKE

W czwartek 16 kwietnia po godzinie 15.00 o „oknach życia” słuchaj w audycji „Blog FM”. Zaprasza Jakub Janiszewski

OKNO ŻYCIA w Gorzowie i Zielonej Górze

Okno Życia w Gorzowie otwarto 15.10.2009r.. poświęcił to miejsce ks. Bp Stefan Regmunt – Ordynariusz naszej Diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Jest to miejsce,



gdzie można zostawić niechcianego noworodka. Okno jest otwierane na zewnątrz przez oddawczynię, po otwarciu rozlegnie się dyskretny sygnał, że ktoś z niego korzysta. Wówczas dyżurna siostra zakonna zabierze noworodka i nim się zajmie, powiadomi też niezwłocznie pogotowie lekarskie, aby ocenić faktyczny stan zdrowia. Do dyspozycji nowego obywatela, aby zabezpieczać życie jest pod ręką inkubator.

Okno życia jest uruchomione w Domu Generalnym Sióstr Miłosierdzia Bożego przy ul. Wyszyńskiego 169.

W Zielonej Górze, okno życia jest już otwarte od kilku miesięcy i mieści się u Sióstr Elżbietanek przy Placu Wielkopolskim 4.

Redakcja „KŁ”



„Wspomnienia Łagowskie“

Myśli/Rozważania przy obrazie utraconej Ojczyzny

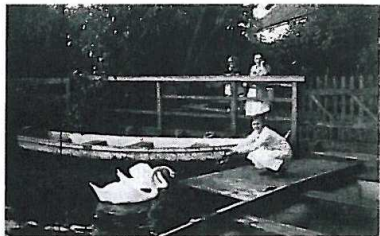
Erinnerungen an Lagow

Gedanken über ein Bild aus der verlorenen Heimat

Unser Heimatfreund **Albert Giesecke**, früher Lagow, jetzt Schleusenweg 76, 14532 Kleinmachnow, verbindet seine Erinnerungen mit einem Bild in seinem Elternhaus, das ihn stets an seine Kindheit denken läßt. Er schreibt uns: „Lagow ist ein poetischer Ort, den ich beim Gedenken in jedem Detail vor Augen habe. Die Zeiten hatten etwas Einmaliges geschaffen. Mein Vater war noch 1945 ein halbes Jahr bei den Polen vor Ort. Ich habe Lagow 1943 das letzte Mal gesehen, - auch meine Mutter! - Nun ist dieser Teil verloren, und er bleibt in der Erinnerung bestehen.“ Lesen Sie seine Gedanken über ein Bild aus der verlorenen Heimat:

In meinem Zimmer hängt ein Bild, welches mein Großvater in den 30-er Jahren, bei einem Besuch bei uns in Lagow, gemalt hat. - Dargestellt ist der Garten des Hauses Ring 6, das Haus in dem ich 1921 geboren wurde. Beim Anblick dieses Bildes steht mir meine Jugend wieder vor Augen, denn viele Jahre meines Lebens haben sich hier abgespielt. -

Das Grundstück von Frau Hausmann war eins von drei, die zwischen den Torhäusern einen Zugang zum Lagower See hatten. Es gliederte sich in Haus, Hof und Garten. Im Haus hatte mein Vater Wohnung und Praxis im 1. und 2. Obergeschoß, im Erdgeschoß wohnte Frau Hausmann. Mehrere Stufen öffneten den Zugang zum Hof, in dem Ställe und Toilette, sowie die Pumpe angeordnet waren. - Zwischen den Ställen führte ein gedeckter Gang zur Laube, von der aus man, über eine Holzterrasse, in den Garten gelangte. Mit Blick auf das Bild habe ich die Laube wieder vor mir. Dahinter ragt das Mauerwerk des Schuppens empor und darüber, mit dem einen Fenster, sieht man das Obergeschoß des Hauses. Von hier hatte man einen herrlichen Blick, es war unser Wohnzimmer, über den See und die umliegende Landschaft. Rechts



Seebalustrade mit Frau Schön und Enkelkind Groke sowie Frau Else Kahl, spätere Frau Seidel. Fotos: Albert Giesecke

neben dem Haus ist das Dach vom Frisörgeschäft Groke zu sehen, dahinter das Dach vom Kaufhaus der Frau Thiermann. Diese Häuser hatten nur einen Hof. - Der linke Giebel gehört zum Kaufhaus Seidel, dessen Grundstück bis zum Tor und auch bis zum See reichte. Über allem der Turm des Schlosses. Soweit der Hintergrund. -

Der Vordergrund zeigt den Garten. Eine Holzterrasse führte an der Nachbarmauer hinab und traf auf Kieswege, die von Buchsbaum umrahmten Beeten unterbrochen wurden. Große Fliederbäume und Hecken spendeten im Sommer Schatten im hinteren Gartenteil, wo unser Spielplatz mit Buddelkasten und einer Bank angelegt war. Die Mitte des Gartens hatte eine Rasenfläche, die von Beeten mit Blumen eingefasst war und in der Mitte ein Rundbeet hatte, das mit Blumen und einer Hochstammrose bepflanzt war. - An den Seiten, zu den Nachbargrundstücken, liefen lange Beete bis zum See, die durch Feldsteine in Reihe begrenzt wurden. Den Abschluß zum See bildete eine hölzerne Balustrade mit vorgelagerter Schöpfbank, deren Zugang durch ein Lattentor

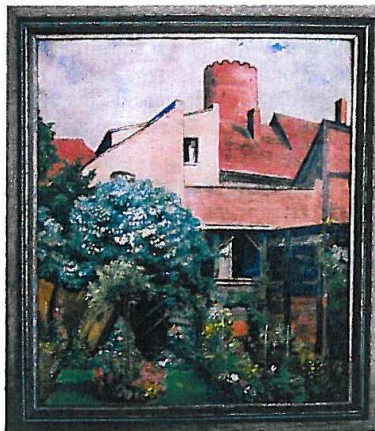
versperrt war. Soweit die dargestellte Örtlichkeit! -

Mit Leben erfüllt wurde der Raum durch uns Kinder und das tägliche Leben. Die Idylle wurde im Sommer durch die zahlreichen Sommergäste belebt, die nebenan im Garten und auf der Seeterrasse des „Deutschen Hauses“ der Familie Heinrich Kaffee tranken, aßen oder auf das Motorboot warteten, das zur Buchmühle am Ende des Tschetsch-Sees fuhr. Ein Boot hatte Fischer Jensch und ein anderes Herr Koberstein. Es waren offene Boote für mehrere Personen. Auf dem Bild ist rechts, neben der Laube, die Holzwand des Eiskellers zu sehen. Hier wurde im Winter das im See geschnittene (gesägte) Eis in Sägespänen gelagert. Er gehörte zu Heinrichs Hotel. Ich weiß nur noch, dass sich stattliche Hornissenester zwischen den Brettern angesiedelt hatten. -

Als Kinder war natürlich in der ersten Zeit der Buddelkasten von Interesse. Wie überall Schippen und Formen. Dann kamen Holzperde und Wagen, wo der Sand dann schon in der Gegend herumgefahren wurde. In den Spielpausen liefen wir dann zum Seeufer und konnten dem Fischer beim Stellen der Netze zusehen, denn in unserer Bucht gab es viele Fische, die auch unter der großen Terrasse nebenan guten Schutz fanden. Als wir größer waren, wurde natürlich geangelt. Sehr zur Freude der Katzen, die sich die Fische, es waren meist Ukeleis, aus dem Eimer holten. - Schöne Stunden verlebten wir in der Laube! Im Sommer wurde dort Abendbrot gegessen und später gab es Bowle oder Braunbier. Ebenso wie Eis wurde es von „Fliegenden Händlern“ durch Glocke und Ausruf angeboten. Dann liefen alle mit Kannen und Schalen auf die Straße zum Einkaufen. - Romantisch waren die Abende mit Lampions, die an einer quer durch die Laube gezogenen Schnur angehängt waren. Praktisch war die Nähe zur Gaststätte, da wir unsere Bestellung über den Zaun machen konnten, Spezialität Berliner Weiße mit Schuß. Leider waren diese Stunden nur selten, da mein Vater als Arzt oft zu einem Besuch gerufen und so die Gemeinsamkeit unterbrochen wurde. -

Ja, soweit einige Erinnerungen an Jugendtage, die ich aus

diesem Bild herauslesen kann. Es ist natürlich nur ein kleiner Teil der vielen Stimmungen und Erlebnisse, die mit dem Bild zusammenhängen. Als ich in den 70-er Jahren in Lagow war, bestand keine Laube mehr. Es war nur die kahle Wand zu sehen. Aber nach einer neuen



Das beschriebene Bild des Gartens

Aufnahme des Hauses vom Schloßturm aus ist das Haus wieder in Ordnung gebracht worden und sah gut aus. Vielleicht hat die Laube auch wieder Auferstehung gefeiert, ich wünsche es ihr sehr! -

Albert Giesecke

T ł u m a c z e n i e

Nasz rodak Albert Giesecke, dawniej zamieszkały w Łagowie, obecnie Schleusenweg 76, 14532 Kleinmachnow wiąże swoje wspomnienia dotyczące zdjęcia swego domu rodzinnego, które wciąż go skłania, aby myślami powrócić do swego dzieciństwa.

Pisze nam „Łagów jest miejscem poetycznym, które w każdym szczególe przed moje oczy powraca. Jednak czas stworzył coś jednorazowe. Mój ojciec przebywał pół roku u Polaków w 1945r. Ja osobiście ostatni raz widziałem Łagów w 1943r., również moja matka. Ten czas minął i tylko wspomnienia pozostały.”

Od Redakcji Heimatbrief Osternberg – proponujemy przeczytać jego wspomnienia i myśli kształtujące obraz jego utraconej Ojczyzny.

W moim pokoju wisi obraz, który mój dziadek malował w latach 30-tych, w czasie gościnnego pobytu w Łagowie. Przedstawia on nasz ogród domowy Ring 6, teraz T. Kościuszki, dom w którym w roku 1921 przyszedłem na świat. Oglądając ów obraz, pojawiają się przed moimi oczami młode lata, bowiem wiele lat mojego życia tutaj spędziłem

Posesja pani Hausmann była jedna z trzech między bramami (polską i brandenburską), które miały dojście do jeziora łagowskiego. Posesja dzieliła się na dom, podwórkę i ogród. W domu, ojciec mój lekarz, miał mieszkanie na I i II piętrze oraz gabinet lekarski. Na parterze mieszkała pani Hausmann. Na podwórku prowadziły schody. Tam znajdowały się chlewiki, ubikacje jak również pompy. Między chlewikami znajdował się drewniany chodnik prowadzący do altanki. Poprzez drewniane schody można było dojść do ogródka. Spoglądając na obraz mam w oczach (widzę) altankę przed sobą. Za nią wystaje mur pomieszczeń gospodarczych, nad nim okno pierwszego piętra domu. Stąd rozprzestrzenił się wspaniały widok. Było to okno naszego pokoju mieszkalnego, z którego widać było jezioro i przylegające okolice nabrzeży.

Z prawej strony domu widać dach salonu fryzjerskiego państwa Greko, a za tym dachem, dom sklepu pani Thiermann. Te domy miały tylko jedną podwórkę. Lewy szczyt należał do sklepu pani Seidel, których posesja rozciągała się do bramy i nabrzeża jeziora. Nad tym obrazem dominowała wieża zamkowa. Tyle do tła krajobrazu malowidła.

Na pierwszym planie obrazu widzimy ogród. Schody drewniane prowadziły wzdłuż muru w dół do chodników posypanych żwirem. Duże krzaki bzu i żywopłotów rzucały w lecie sporo cienia w tylnej części ogrodu, gdzie znajdowała się róża wysokopienna. Wzdłuż granic do sąsiednich posesji znajdowały się długie grządki aż do brzegu jeziora zakończone rzędem polnych kamieni. Zakończenie grządek stanowiły drewniane barierki z podestem do jeziora. Dostęp do jeziora był zamknięty drewnianą furtką. Tyle opisu z miejscowego wspomnienia.

Owa przestrzeń została wypełniona życiem przez nas dzieci oraz codziennym życiem wszystkich. Idyllicznie zostawała ożywiona owa przestrzeń w lecie poprzez licznych gości, którzy w ogrodzie sąsiednim siedzieli na pomoście jeziora należącego do lokalu „Deutsche Haus” (dzisiaj „Pod Basztą”) i do rodziny Heinrich, popijając kawę. Jedli także posiłki czekając na łódź motorową, która kursowała do Buchmühle (bukowy młyn) przy końcu jeziora Trześniowskiego. Jedną łódź miał rybak nazwiskiem Jensch, a druga pan Koberstein. Były to łódzie dla wielu osób podróżujących.

Na zdjęciu z prawej strony, obok altanki, widoczna jest drewniana ściana piwnicy lodowej. Tutaj w zimie składano i przechowywano w powłoce z trocin, wycięte z czystej tafli jeziora, bryły lodu. Ta piwnica należała do hotelu rodziny Heinrich. Jeszcze do dziś pamiętam jak okazałe gniazda szerszeni tam między deskami się zagnieździły. Jest zrozumiałe, że jako dzieci największą uwagę poświęcaliśmy piaskownicy. Jak wszędzie łopatkami i foremkami. Później drewniane koniki i wozy, a piasek rozprzestrzeniał się wszędzie dookoła. W czasie przerw zabawowych biegaliśmy do nabrzeży jeziora przyglądając się rybakowi przy stawianiu sieci, bowiem w naszej zatoce było dużo ryb, które pod wielkim pomostem sąsiedniej posesji szukały schronienia.

Gdyśmy podrośli, zaczęliśmy wędkować, ku radości naszych kotów, które sobie owe rybki, a były to przeważnie uklejkę, wyciągały z wiadra. Dużo radosnych chwil spędzaliśmy w altance. Tam, w czasie lata jedliśmy kolacje, później serwowano „Bowlę” (kruszon) oraz piwo słodowe – ciemne. Równie często jedliśmy lody, które były sprzedawane przez handlarzy obwoźnych (latających handlarzy), którzy swoje pojawienie się na ulicy ogłaszali odgłosem dzwonka. Wtedy wszyscy wylegali na ulicę z dzbankami i szklankami aby robić zakupy.

Romantycznie przebiegały wieczory przy lampionach, które były rozwieszane na sznurach w altance.

Praktyczne też było sąsiedztwo restauracji hotelowej, gdyż nasze zamówienia można było dokonać dosłownie przez ogrodzenie. Specjalność, to „Berliner Weiße mit Schuß” (piwo jasne z dodatkiem soku malinowego).

Szkoda, że takowe godziny były rzadkością, gdyż mój ojciec będąc lekarzem, często był niespodziewanie wołany do chorego i tak przerywano nasze wspólne, radosne chwile!

To tyle z niektórych wspomnień mojego dzieciństwa, które mogę z owego obrazu wyczytać. Jest to naturalnie mały wycinek moich wspomnień i przeżyć jakie wiążą mnie z owym obrazem. Kiedy odwiedziłem w latach 70-tych Łagów, owej altanki już nie było. Została pusta ściana. Z jednego nowych zdjęć wykonanych z wieży zamkowej widać, że dom został odrestaurowany i wyglądał przyzwoicie. Może w międzyczasie odtworzono (odrodzono) altankę – tak bardzo bym jej tego życzył.

*Wspomnienie przedstawił
dawny mieszkaniec Łagowa
Albert Giesecke*

Tłumaczenie z języka niemieckiego na język polski dokonał Pan Peter Głogowski zam. Łagów.

Tekst wyszukał w HB 2/07 Ryszard Bryl i do tłumaczenia podał. W tłumaczeniu j.w. znajdują się inne ciekawostki z dawnego Łagowa.

„Bowlę” dawniej – to napój sporządzony z wina, wina musującego z dodatkiem oranżady i sporej ilości owoców truskawki, czereśni, porzeczek itp.

Od Redakcji:

W Łagowie, kto tutaj mieszkał, chodził uliczkami jak opisuje to dawny mieszkaniec, można odnaleźć w pamięci jeszcze 2-3 takie zatoki z rybami, przystaniami, ogródkami, altankami, werandami na podwórkach przy jeziorze. Przynajmniej tak było do 80-tych lat...

Ryszard Bryl

Łagów szachulcowy – którego już nie ma. Cz III.

Dawnego Łagowa już nie ma, czasy się zmieniają, to już 65 lat, gdy nastąpiły przesiedlenia i zasiedlenie tych obszarów.

Podobnie zniknęły jak ludzie ich charakterystyczne budowle, budownictwo poprzednich wieków – Fachwerk – nie zawsze budownictwo mocne, trwałe, najwyższej jakości...

Łagów i okolice to miejsca gdzie także było wiele budynków o konstrukcji szachulcowej. Jak było pokazują zachowane zdjęcia, części tych budowli nie udało się zgromadzić w czystym fotograficznym ujęciu.

Trzeba zaznaczyć, że obok kościoła, zamku i domu pastora były przynajmniej dwie budowle szachulcowe – mieszkalna i gospodarcza.

Na terenie obecnego Ośrodka Wczasowego „Leśnik” była przynajmniej jedna budowla o konstrukcji szachulcowej – budynek gospodarczy – to były tereny Oberförsterei Łagów (nadleśnictwa).

Na przełomie lat 1980-81 jako ostatni został wyburzony pod potrzeby nowego budownictwa dwurodzinny dom szachulcowy, który zamieszkiwali p. M. Szczepaniak i państwo Chlebowscy przy ul. B. Chrobrego (brak zdjęcia)

Zamieszczone zdjęcia pokazują gdzie był szachulec – domy prostej konstrukcji, bez wody i kanalizacji. Zdjęcia pokazują stan zabudowy z przełomu XIX i XX wieku do czasu ich wyburzenia – ok. 1952 r. To tutaj na odcinku 120 m obecnej ul. T. Kościuszki d. Ring, zamieszkiwała rodzina noblisty G. Domagka. Albo było to przy Bramie Marchijskiej – w nieistniejącej grupie

domków
szachulcowych

nazywanych Zaułkiem Malarzy (niem.), albo kilkadziesiąt kroków dalej w długim budynku z cegły (ob. parkingu) na wprost restauracji „Pod basztą”, albo też na wspomnianych już obszarach za domem pastora, bliżej jeziora i kościoła, gdzie też były budynki szachulcowe. Władze polskie swoimi decyzjami zarządziły likwidację szachulca w w/w miejscu w latach 1947 – 1954 i efekt ten oglądamy do dzisiaj – budownictwa tego nie ma lub pozostawione – otynkowano...

Tekst i zdjęcia: Ryszard Bryl

Korzystano ze zbiorów zdjęć niemieckich posiadanych w archiwum „KŁ”



DIE EISKELLER IN LAGOW I

LIEBE CHRISTA!

SBR.12.10.2009

NACH UNSEREN TELEFONGESPRÄCH HEUTE ÜBER EISKELLER;HABE ICH
INTENSIV ÜBER UNSEREN EISKELLER IN LAGOW NACHGEDACHT:

DAMALS HATTEN WIR JA NOCH KEINE ELEKTRISCHE EISMASCHINE;UND
DAS SPEISEEIS WURDE IN EINEM KESSEL/DAS VON ROHEIS UMGEBEN
WAR GEDREHT:DER LAGOWER SEE HATTE EINE GÜNSTIGE GELEGENHEIT;
UM DIESES ROHEIS ZU GEWINNEN:

ZU DIESEN ZWECK HATTEN WIR FÜR DIE AUFBEWAHRUNG DER EISBLÖCKE
EINEN EISKELLER IM GARTEN:

WENN DIE EISDECKE AUF DEN SEE DICK GENUG WAR WURDE "EIS GEMACHT"
VON DER BÜRGERMEISTEREI MUSSTE MAN EINE GENEHMIGUNG DAZU EINHOLEN,
DANN WURDEN DIE MÄNNER BESTELT;DIE MIT HACKEN UND SÄGEN ANRÜCKTE,
SIE HATTEN LEDERSCHÜRZEN UM UND SCHÜTZTEN DIE HÄNDE MIT EINER
ART LEDERLAPPEN;DER DIE HANDINNENFLÄCHEN SCHÜTZTE:

DANN WURDE ERST EIN LOCH GEHACKT UM DIE SÄGEN ANSETZEN ZU
KÖNNEN UND CA:40X40 ES KANN AUCH ETWAS MEHR GEWESEN SEIN/
GROSSE BLÖCKE AUS DEM EIS ZU SÄGEN.

DIESE WURDEN DANN ÜBER HOLZRUTSCHEN IN DEN EISKELLER GESCHOBEN.
DORT WURDEN SIE DICK IN SÄGESPÄNE EINGEPACKT UND AUFEINANDER
GESCHICHTET.WENN DER KELLER VOLL WAR,WURDE NOCH MIT SÄGESPÄNE
AUFGEFÜLLT UND DANN DIE DICKEN DÜBELTÜREN GESCHLOSSEN.
NUN KONNTE DAS EIS BIS ZUM SOMMER SCHLUMMERN UM DANN DER
KÜHLUNG UND ZUM EISMACHEN ZU DIENEN.

ES REICHTE MEISTENS SEHR LANGE. NEBEN UNS, FAMILIE HEINRICH VOM
HOTEL DEUTSCHES HAUS HATTE, GLAUBE ICH AUCH EINEN EISKELLER
UND AUCH HOTEL AM SEE VON PINETZKI.SICHER HABEN ALLE HOTELLS
IN LAGOW ES SO GEMACHT. UNSER EISKELLER WAR AN DAS BACKHAUS
ANGEBAUT AN DER GRENZE ZU SCHUHMACHER ZILLMANN.
SO VIEL ÜBER DIE EISKELLER IN LAGOW.

ERRINNERT UND AUF GESCHRIEBEN VON URSULA KATHTE FRÜHER
LAGOW JETZT WOHNHAFT IN SAARBRÜCKEN.
IHRE ELTERN BETRIEBEN BIS 1945) DIE BÄCKEREI AM POLNISCHEN TOR.
IN LAGOW.

Droga Christo,

dzisiaj po naszej rozmowie na temat lodowni dużo myślałam o naszej lodowni w Łagowie. Wtedy nie mieliśmy przecież elektrycznych maszyn do lodów, więc kręciło się je w kotle obłożonym lodem. Jezioro Łagowskie miało sprzyjające okoliczności, by pozyskiwać naturalny lód.

W celu przechowywania bloków lodowych mieliśmy w ogrodzie lodownię.

Gdy pokrywa lodowa na jeziorze było wystarczająco gruba, „robiono lody”.

W tym celu trzeba było uzyskać pozwolenie od burmistrza. Wtedy wzywano mężczyzn, którzy przychodzili z hakami i piłami. Mieli skórzane fartuchy a na rękach pewnego rodzaju skórzane szmatki, które chroniły wewnętrzne części dłoni.

Wtedy dopiero wyrąbiano dziurę w lodzie, aby móc ustawić piły i wyciąć z lodu bloki o wielkości 40x40 (mogły być również większe).

Bloki te były potem umieszczane w lodowni przy pomocy specjalnych drewnianych przenośników ześlizgowych. Tam owijano je grubą warstwą trocin i układano jeden na drugim. Gdy lodownia była pełna, zasypywano ją jeszcze trocinami i zamykano grubymi podwójnymi drzwiami. Lód mógł sobie tak „drzemać” do lata a potem służyć do chłodzenia i robienia lodów.

To wystarczało zwykle na długo. Obok nas, rodzina Heinrich z hotelu „Deutsches Haus”, jak sądzę, miała także lodownię oraz hotel „Am See” Pinetzkich. Z pewnością wszystkie hotele w Łagowie tak robiły. Nasza lodownia była dobudowana do domku, w którym mieścił się piec do wypieku chleba, na granicy z Schuhmacher Zillmann.

To tyle o lodowni w Łagowie.

Wspomnienia zapisane przez Urszulę Kathte dawniej zamieszkałą w Łagowie, obecnie mieszkającą w Saarbrücken.

Do roku 1945 jej rodzice prowadzili piekarnię „Am polnischen Tor” w Łagowie.

Błękitni Toporów – dobra IV liga w gminie Łągów

Błękitni Toporów – rok założenia 1961, barwy błękitne, boisko do treningów – tereny obok Szkoły Podstawowej w Toporowie, ul. Szkolna 11.

prezes Piotr Kozubski – Członkowie Zarządu: Alfred Graczyk, Jan Hipp, Jan Drobek, Ryszard Kowalski – kierownik drużyny.

Trener – Marian Fiodorowicz (od 2004r.)

Sukcesy – kolejny rok w IV lidze, środek tabeli...

Sekcja piłki nożnej została reaktywowana w 1993r. za sprawą wielkiego miłośnika, nieżyjącego już Andrzeja Graczyka. Dzięki jego wielkiemu zaangażowaniu w w/w roku drużyna przystąpiła do rozgrywek w klasie „C”. Po roku awansowała do klasy „B” a po 2-ach latach do klasy „A”. W klasie „A” drużyna Błękitnych grała 4 sezony piłkarskie. W roku 2001, dzięki dobrej grze awansuje i gra w klasie okręgowej. Od 2004 roku zatrudniono trenera Mariana Fiodowicza i drużyna walczy o kolejne sukcesy. Rok 2004/2005 liga okręgowa – 2 miejsce. 30 55 (61:26).



KS BŁĘKITNI Toporów w 2004 roku: Sławomir Jankowski, Jacek Szewczyk, Mirosław Heniek, Piotr Pawlus, Lech Topolicki, Jacek Łysyński, Wiesław Zwagnodzi, Piotr P. Han, Tomasz Kawiłowski, Jarosław Dąbka, Paweł Janosz, Paweł Imbirski, Wojciech...

Baraż o udział w IV lidze po dwumeczu; Błękitni T. – Toromą Torzym 0:0 oraz Toroma Torzym – Błękitni Toporów 1:6. Mecz odbył

się na naturalnym boisku w Lubrzy, uzyskano historyczny awans małego klubu z niezbyt wielkiej wsi do IV ligi.

Sukces awansu nie był przypadkowy, nie jednoroczny, nie okazjonalny i koniunkturalny, ale jest trwały w tej lidze drużyna gra do dnia dzisiejszego.

Aby uświadomić jak kształtowały się wyniki gry za poszczególne lata podaje miejsca tabeli końcowej:

- sezon 1005/2006 – 13 m. 34 42 (42:49), walki barażowe o pozostanie w IV lidze, dwumecz Syrena Cybinka – Błękitni Toporów 1:1 i 1:3. Ostatecznym sukcesem jest dalszy pobyt w IV lidze.
- sezon 2006/2007 – 12 m. 30 30 (36:52),
- sezon 2007/2008 – 10 m. 30 37 (55:58),
- sezon 2008/2009 – 9 m. 30 41 (62:48)
- sezon jesienny 2009/2010 – 7 m. 15 21 (34:21).

Aby zasygnalizować, że w gminie Łągów w powiecie Świebodzin jest piłkarska wieś, zainteresowanie sportem piłkarskim i innymi dyscyplinami, Klimaty Łągowskie spotkały się z członkiem Zarządu Klubu Sportowego, Panem Alfredem Graczykiem w jego miejscu pracy. Redaktorzy obejrżeli tereny wsi Toporów, boisko sportowe, zaplecze przy SP Toporów, ocenili wstępnie drogi i bezdroża tej ciekawej wsi i terenów przyległych – jak to w gminie Łągów pełnej atrakcji turystycznych i ciekawostek, o czym będziemy pisać odrębnie.

Pan A. Graczyk opowiadał o działalności klubu, dniu codziennym, problemach i zamierzeniach grupy działaczy, zawodników, trudnościach

w realizacji przedsięwzięcia. Z uwagą wysłuchaliśmy, że to co robi Zarząd jest robione i planowane z myślą o lokalnym społeczeństwie, o miejscu gdzie żyją, mieszkają, mają swoje rodziny i tutaj będą mieszkać. A Graczyk



Część zbiorów piłkarskich trofeów Błękitnych Toporów.

podkreślił, że jest bardzo dobra współpraca z dyrekcją miejscowej szkoły podstawowej i nauczycielami. Szkoła udostępnia swoje pomieszczenia na szatnie podczas treningów na przyległym boisku i salę gimnastyczną do treningów jesienno – zimowych.

Sprawy zabezpieczenia imprez sportowych, ochrony, transportu są wspierane społecznie i z zaangażowaniem miejscowych i z pobliskich wsi. Imprezy piłkarskie, wstęp na rozgrywki jest bezpłatny. Rosną koszty obsługi, transportu zawodników, opieki trenerskiej, wychowywania następców do zasilenia drużyny. Budżetem trzeba gospodarować rozsądnie, liczyć każdą złotówkę.

W zespole seniorów występują zawodnicy z Toporowa, ale też innych miejscowości jak Lubrza, Mostek, Ciborza, Świebodzina.

Bardzo dużo pomocy i zaangażowania jest ze strony nauczyciela w-fiz. w SP Toporów Pana Andrzeja Topolskiego jako trenera juniorów – znowu uczniów Toporowa i pobliskich małych miejscowości. Tutaj ważna współpraca jest z rodzicami tych małych sportowców, którzy godzą się na dojazdy, powroty do domu, szkoły i na boiska sportowe. To planuje Zarząd, opłaca transport, zatrudnia byłych zawodników w firmie drzewnej A. Graczyka, chodzi o więź z miejscowością, sportem, klubem, potem grą w Toporowie w Błękitnych lub innych klubach sportowych po otrzymaniu podstaw treningowych. Dotychczas nie było kłopotów w przejściach z klubu do klubu, gdy sytuacje życiowe lub sportowe się zmieniają lokalnie.

Należy i warto podkreślić lokalność tego sportu, tego klubu i jego sportowej atmosfery. Już byli zawodnicy, pracownicy, tatusiowie pamiętają gdzie grali, co im dał sport, kto pomagał, kierował i troszczył się o nich, gdy byli młodzieżą dorastającą i zaraz potem.

Podczas spotkań jest uśmiech, szacunek dla działaczy, trenerów zagospodarowujących im czas i pokazujących wartość i uroki sportu piłkarskiego, a przecież nie tylko piłki nożnej.

Jak się okazuje, nie dostaliśmy porcji narzekań na niesfornych, niechętnych grze, destrukcyjnych w klubie, pracy i okolicy wiejskiej. Aż nie chce się w tych czasach wierzyć, że byli tutaj i są zawodowcy nie przynoszący kłopotów, wstydu – podobnie, a będziemy to sprawdzać może jest i u innych!

„Klimaty Łagowskie” z całego społeczno – obywatelskiego dziennikarstwa życzą dalszych sukcesów, silniejszego budżetu w klubie, przychylnego podziału środków w UG Łagów i zapowiadają się wstępnie w chyba także ambitnych klubach amatorskich Łagowa i Sieniawy.

A gdyby tak III liga się zdarzyła?! Co to by było gdy nie ma!



Szkoła Podstawowa w Toporowie.



Red. Mieczysław Fedorowicz omawia siłę piłki nożnej Błękitnych Toporów z panem Alfredem Graczykiem.

*Mieczysław Fedorowicz
Zdj. R.B + archiwum Klubu...*

Rozmowa z Panem Franciszkiem Roguszko, emerytem rolnym z Żelechowa.

Upatrzyłem sobie w Żelechowie starszego Pana na rozmówcę, jako kogoś, kto pewnie zaraz po II wojnie przybył na tereny zajmowane przez Polaków.

Ta rozmowa jest częścią dawnych śladów tej wsi i okolic, do już pisanych i gromadzonych tekstów



i fotografii. Trzeba napisać tak: Jest w każdej wsi ktoś, paru ludzi, sporo spośród wielu, którzy żyjąc, żyli ciekawie, ciężko pracując, widząc zmiany w otoczeniu, w pracy, na wsi swojej lub wsiach okolicznych, u współmieszkańców. Lata biegnęły, wychowywano dzieci, rosło nowe pokolenie, przyszłość dla siebie i dla kraju.

Roguszkowie przyjechali do Żelechowa w 1948 roku, do stacji Bucze pociągiem, a potem konno, wozem do pobliskiej wsi i tak mieszkają od 60 lat.

Roguszkowie pochodzili z Pomorza, od Żnina. Czas wojny spędzali jako robotnicy przymusowi wśród innych Polaków w dużym gospodarstwie u Niemca Kolbe.

Już jesienią 1944 bauer Kolbe ucieka w głąb Niemiec, uwożąc swoje dobra najważniejsze w dwóch głębokich wozach (kistach, kastach). Przymusowi nadal trzymali się pracy na roli i w gospodarstwie Kolbego oczekując ostatecznej klęski Niemiec hitlerowskich i sposobili się do powrotów do swoich regionów w Polsce i do innych krajów.

W 1948 roku i następnych były już zorganizowane dyrekcje PGR-ów, zespołów rolnych aby trwała kontynuacja upraw ziem po bogatych Niemcach, właścicielach do 1945 r.

W Łagowie przy ul. Sulęcińskiej w ciekawym architektonicznie pałacyku poniemieckim była już czynna siedziba terenowych władz PGR, kierownictwo – Inspektorat był w Świebodzinie. I tak było do końca lat 50 – tych, kiedy zmieniały się decyzje polityczne...

W pałacyku zagościła organizacja masowa – ZMS, odbywały się szkolenia, kursy i wypoczynek pod namiotami w pobliskim lesie bukowym. Otoczenie pałacyku także uległo zmianom.

Początki w PGR-ach były ciężkie – ludzie z różnych stron Polski w różnym wieku o małych umiejętnościach, ale integrujący się i urzędowo integrowani we wspólnoty, poprzez prace, poprawę warunków mieszkaniowych, warunków życia, zabawami ludowymi pod chmurką. Prawie każda wieś miała PGR, Zakład Rolny,

specjalizację rolną – hodowlana lub uprawy. Każdy rok pokazywał wzrost wyników pracy gospodarstw rolnych lub wymagały one pomocy – dotacji państwowych przy złym gospodarowaniu, bo i tak bywało.

Ziemię uprawiano końmi w PGR Żelechów było 8 zaprzęgów – 2 lub 3 konnych. Za taki zaprzęg odpowiadał fernal, połowy brygadzysta. Konie ciągały duże platformy – wozy do wszystkiego, całoroczne. Wożono nawozy sztuczne, obornik na pola, ziemniaki z pól, do kopców i magazynów, do gaz dni w łagowie. Zwożono snopy z pola i zboże wiosną i jesienią w workach do wysiewu. Zaprzęgi konne ciągnęły siewniki, brony, pługi, snopowiązałki i tzw. garściówki – kosiarki kładące pokos do ręcznego wiązania snopów.

Przez lata, a szczególnie w latach 70-tych XX wieku następowała poprawa warunków życia pracowników i wymiana sprzętu obsługi rolnictwa. To wtedy w pobliżu siedziby PGR-u, koło pałacu zbudowano silosy na przechowywanie ziarna, czynne do tej pory i nadal dzierżawione przez uprawiających okoliczne pola, nie widać nieużytków i to cieszy.

Żelechów PGR miał 540 ha ziemi ornej, ok. 32 ha łąk, hodowlę, budynki gospodarcze i mieszkalne. Poniemiecki pałac Rissmana był miejscem pracy administracji, sezonowo miał też kuchnie, gdy przysłano tam jak do wielu innych PGR-ów „zasilenie”, czyli junaków Służby Polsce, Związku Młodzieży Polskiej, żołnierzy LWP służby zasadniczej. Jeśli była potrzeba budowano miasteczka namiotowe – czy to w Buczynie gm. Lubrza, czy Wielopolu, Sieniawie, Stoku. Wszędzie były pola uprawne, farmy, magazyny zbożowe. Pomoc organizacji młodzieżowym, szkół rolniczych, studentów WS Rol trwała do lat 80 – tych.

Konkurencyjnym i wzorowym PGR – em dla Żelechowa był prężnie działający PGR Łągów przez lata kierowany przez Józefa Wrzoska. Innym dużym Zakładem Rolnym był PGR Toporów z przyległymi hodowlami i obszarami upraw rolnych.

Do osób pełniących funkcje kierownicze PGR Żelechów należeli panowie Ausfeld, Krajewski, Cerba, Moszczyński, Roguszko, Szulczewski, Jaworski.

Lata 70 – te, to likwidacja PGR – ów, upadek hodowli zwierzęcej i zasiewów. Zaniechano opieki nad pracownikami rolnymi. Żelechów jest jednym z przykładów upadku tej opieki.



Przy drodze w kierunku Sieniawy lata 80 – te, to jeszcze budowa mieszkań dla pracowników. To 2 x 18 mieszkaniowe bloki i 1 x 24 mieszkaniowy. Rok 2010 i stan faktyczny jak lata poprzednie. Zaniechania, zaniechania, brak perspektyw. Tak przyszło nowe i nie skutkuje sukcesami.

Ustawa z 19.10.1991 „O gospodarowaniu nieruchomościami rolnymi Skarbu Państwa” miała być mądra, perspektywiczna, dawać przemyślane decyzje – prace. Wynik – wystarczy w jednej gminie objechać byłe placówki.

Serdecznie dziękuję za spotkanie.

Wysłuchał i starał się opisać tamte czasy – Ryszard Bryl., zdjęcia: R.B

Komunikat!

W 2010 roku (w czerwcu) minie 40 lat od zakończenia działalności Liceum Pedagogicznego w Sulechowie.

Grupa zainteresowanych – red. „Klimaty Łągowskie” oraz Sulechowskie Towarzystwo Historyczne zwracają się z prośbą o nadsyłanie osobistych wspomnień z czasów pobytu w Sulechowie, w internacie, z nauki szkolnej 3-4-5-letniej. Interesuje nas wszystko to, co działo się w szkole i internacie, na wycieczkach, capstrzykach, kolejnych maturach, kółkach zainteresowań, sportowej rywalizacji i na wagarach...

Interesują nas też współczesne, kultywowane przez niektóre klasy maturalne spotkania absolwentów.

Wraz z Prezesem STH panem Markiem Maćkowiakiem (wnukiem pierwszego dyrektora Antoniego Maćkowiaka) gromadzimy i opublikujemy teksty i zdjęcia o czasach Liceów Pedagogicznych, które zakończyły ogólnopolską działalność w 1970 roku. W woj. zielonogórskim było wówczas przynajmniej 5 (zakładów kształcenia nauczycieli – tak mówiono oficjalnie) Liceów Pedagogicznych – w Zielonej Górze, Sulechowie, Nowej Soli, Lubsku i Ośnie Lubuskim. Były one likwidowane w kolejności takiej: Ośno Lubuskie, Lubsko, Nowa Sól, Zielona Góra, Sulechów. Równolegle w Sulechowie istniało duże Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. O tej grupie nauczycieli przedszkola i nauczania początkowego chętnie napiszemy. Było nas wielu i sporo jest jeszcze czynnych zawodowo. Gdzieś jesteście – bliżej lub dalej. Aby zachęcić – „Kł”: i STH publikują pierwsze wspomnienia z naszej budy...

P.S. Jak wynika z kolejnych ustaleń, Liceum Pedagogiczne było także w Gorzowie Wlkp. i tam także było Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. Czy to prawda?

Gdzie jeszcze były szkoły pedagogiczne – Myślibórz, Choszczno, Drezdenko, Międzychód?!

Redakcja informuje, że w numerze 4/2009 w przedruku tekstów błędnie oceniła czas pracy (dyrektorowania) Pana Antoniego Maćkowiaka. Był dyrektorem Liceum Pedagogicznego w Sulechowie w latach 1946 – 1950, następnie pracował na UAM w Poznaniu. Po A. Maćkowiaku, drugim i ostatnim dyrektorem był Pan Edmund Ciesielski – do 1970 r.



Redakcja „Kł”

Najgorszy w Łagowie jest listopad i początek grudnia, kiedy miejscowość prawie pustoszeje. Turysty nie znajdziesz na lekarstwo. Właściciele hoteli, pensjonatów i władze gminy coraz częściej zastanawiają się jak przedłużyć sezon.

Gdy w słoneczny październikowy dzień ktoś zjedzie z ruchliwej trasy Poznań - Świecko, znajdzie Łagów Lubuski. Tu jakby czas się zatrzymał. Spokój. Wielu po to właśnie tu przyjeżdża. Cenią sobie zdrowe powietrze i ciszę. Inni chcą się rozerwać. Tym wystarcza jednak kilka letnich miesięcy kiedy w Łagowie jest głośno i wesoło, potem tracą zainteresowanie lubuską „perłą”. Ale ceniących spokój, i szukających „dziania się” brak tu przez kilka zimowych miesięcy. Wtedy jeziora i bukowe lasy oddają jedynie mieszkańcy, na których taki widok nie robi już wrażenia.

Weekendowi goście

Jednak brak turystów w zimie nie jest powodem do rozpacz.

- Powoli zmienia się mentalność Polaków twierdzi nadzorujący zamek Łagowski Piotr Zwoliński. - Coraz częściej przyjeżdżają do nas turyści tzw. weekendowi. Rezerwują wcześniej pokoje na sobotę i niedzielę. Ludzie zaczynają inwestować w wypoczynek. Uczą się, że lepiej wyjechać z miasta, odwracać się od problemów, odregulować stres.

Na potwierdzenie tych słów P. Zwoliński pokazuje książkę meldunkową. Do końca miesiąca nie ma wolnych miejsc w weekendy. Do zamku najwięcej osób przyjeżdża z Poznania, Gorzowa oraz Niemiec. Mniej jest zielonogórzan.

Zaznacza jednak, że z turystami gorzej jest w środku tygodnia.

- Bo prawdziwy sezon kończy się z latem a zaczyna od marca - dodaje P. Zwoliński. - Dlatego po sezonie stosujemy obniżki cen do 20 proc. Po to by ludzi przyzwyczaić do przyjazdów.

Mniejsze powodzenia po sezonie ma Ośrodek Wypoczynkowy Leśnik. Tutaj najwięcej osób przyjeżdża do września. Po sezonie w Leśniku mieszkają Niemcy i Polacy. Wtedy ceny spadają o 10 proc.

- W tej chwili wykorzystujemy ośrodek w 50 proc. - mówi kierownik Piotr Fiedukowicz. - W listopadzie nie ma czym przyciągnąć tu

rystów, bo jak na razie Łagów może zaoferować tylko łóżko i talerz.

Zdaniem Fiedukowicza trzeba utworzyć stowarzyszenie kupców i hotelarzy, którzy zajęliby się uat-

niażde ciepłą jesienią nie ma co liczyć.

Do końca października będzie czynny jedynie sezonowy ośrodek wypoczynkowy Promyk.



kcyjaniem oferty tak, by sezon przedłużyć na cały rok.

Najmniej kłopotów z wykorzystaniem swojej bazy ma Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy BGŻ Morena. Ale ich sposób na zarabianie pieniędzy i ściąganie gości to kursy i szkolenia.

- Zgodnie z modą. Ludzie chcą się szkolić, ale poza zakładami pracy - wyjaśnia kierownik Moreny Leszek Malinowski. - Łagów jest idealny do tego. Przyjeżdżają do nas też artyści na plenery.

Poza tym kierownik chce stworzyć bazę do czynnego wypoczynku. Jest siłownia, w przyszłym roku mają powstać korty i sauna.

- Żeby jednak turyści w Łagowie byli przez cały rok, konieczna jest poprawa infrastruktury miejscowości - dodaje L. Malinowski.

Oprócz działających przez cały rok, w Łagowie są ośrodki czynne tylko w sezonie. Prawie wszystkie szykują się już do zimy i na to, żeby przespać się w nich za drobne pie-

- Pogoda jest dobra, przyjeżdżają grzybiarze, wędkarze więc jeszcze interes działa - opowiada szef Promyka Jan Dojas. - Mieszkają w domkach i pawilonach. Ceny mam niższe, posezonowe.

W Promyku można jeszcze wypożyczyć nawet rower czy kajak, żeby uganiać się po jeziorze za ostatnimi promieniami słońca.

Przywiązać do siebie

Właściciele prywatnych pensjonatów starają się zachęcić gości wysokim poziomem usług, przywiązać do siebie, zaprzyjaźnić się z nimi. Myślą też jak uatrakcyjnić Łagów.

Powstają więc korty tenisowe, szkoły jeździeckie. Kiedyś był nawet pomysł, uruchomienia statku, który pływałby z turystami po łagowskich jeziorach.

Jednak pod skórą wyczuwa się delikatny spór dotyczący przyszłości Łagowa. Czy ściągać turystów za wszelką cenę, niszcząc spokój, czy też nie. Ale to problem

otwarty. Najrozsądniejsi polemicy uważają, że problem rozwiąże się sam. Zdecydują inwestorzy bo to oni wiedzą najlepiej jak i w co ulokować swoje pieniądze.

Przyjedzie chory - wyjedzie zdrowy

Lubuska „perła” to przede wszystkim bukowe lasy, jeziora, czyste powietrze i wody mineralne chlorkowo-sodowe, bromkowe i borowe oraz obecność borowin w pobliskich torfowiskach. Łagów od 1974 roku ma status uzdrowiska. Ten stan zostanie zachowany. Specjalnie dla ochrony przyrody utworzono tu rezerwat krajowy.

Ludzie przyjeżdżali tu kiedyś właśnie po to, by klimat uleczył ich z dolegliwości układu krążenia, oddechowego, chorób układu nerwowego. Przed II wojną Łagów znany był jako miejscowość kuracyjna - „Luftkurort” dla mieszkańców Frankfurtu i Berlina.

- To właśnie jest szansa dla nas twierdzi wójt gminy Henryk Czajkowski. - Oprócz tego chcemy wykorzystać to, że będziemy się znajdować obok planowanej autostrady.

Zagładną z Ameryki

„Dlatego Łagowem interesuje się obcy kapitał. Najrealniej przedstawiają się plany uzdrowiskowe.

Amerykanin z Chicago, polskiego pochodzenia kupił dom wczasowy Bajka III. Chce tu urządzić dla amerykańskiej Polonii dom wypoczynkowy. Prace wkrótce mają się rozpocząć.

Natomiast niemiecki architekt i prawnik oraz lekarka z Łomży postanowili wybudować w Łagowie sanatorium. Inwestycja docelowo obejmować będzie 200 łóżek, ale już w przyszłym roku ma być gotowy pierwszy pawilon dla 50 osób.

Oprócz tego z leczniczych właściwości wód mineralnych chcą skorzystać Niemcy z Monachium. Ich pomysł na Łagów to budowa rozlewni wód mineralnych.

RADOSŁAW PILONIS

W ostatnim okresie na łamach „Zycia Warszawy” ukazało się kilka artykułów na temat Łagowa a szczególnie jego zagospodarowania oraz ochrony zabytków i krajobrazu.

Pojęta kompleksowo sprawa ochrony Łagowa jako miejscowości o wyjątkowych walorach krajoznawczych i architektonicznych stanowi problem złożony, wymagający skoordynowania wysiłków w różnych dziedzinach działalności. Zawarte we wspomnianych artykułach akcenty krytyki zwracają właśnie uwagę na konieczność wzmocnienia tej koordynacji. Wyrzucając szereg drobnych uchybień w zakresie ochrony przyrody i architektury, wskazują na potrzebie podjęcia skutecznego działania, aby nie dopuścić do nieprzemyślanych poczynań budowlanych czy lokalizacyjnych, które wpłynęłyby negatywnie na przestrzenne lub krajoznawcze oblicze Łagowa.

Podkreślając pozytywną rolę krytyki prasowej, w tym także artykułów o Łagowie, publikowanych w „Zyciu Warszawy” trzeba równocześnie, niestety, zwrócić uwagę na spore mankamenty artykułów Heleny Kowalik. Artykuły te napisane zostały bez wieloletniego rozumienia sprawy, wskutek czego znalazło się w nich wiele stwierdzeń balałowych, nie polegających na prawdzie. Autorka oparła swe relacje na subiektywnych odczuciach pojedynczych osób ze środowiska łagowskiego oraz na poglądach ludzi niekompetentnych. W takiej sytuacji, przy równoczesnym ignorowaniu opinii osób merytorycznie odpowiedzialnych, powtarzają się twierdzenia tendencyjne, dalekie od obiektywizmu. W celu potwierdzenia z góry założonych tez Helena Kowalik pozwoliła sobie na zniekształcenie wypowiedzi osób, z którymi rozmawiała a nawet przypisała im oświadczenia, których nie wypowiedziały.

Takim postępowaniem red. Kowalik mogła zniechęcić wszystkich tych, którzy wykazali dużo serca i inicjatywę dla sprawy rozwoju Łagowa. Uważam, że szczególnie dużą krzywdę wyrządziła przewodniczącemu Prezydium PRN inż. Henrykowi Panufnikowi, który jest cenionym i dobrym gospodarzem, a za wybitne osiągnięcia powiatu w produkcji rolnej i zwierzecznej otrzymał dyplom na naradzie krajowej w bieżącym roku.

Wytwarzanie niezdrowej, tendencyjnej i niezgodnej z prawdą atmosfery wokół ofiarnych i zaangażowanych ludzi wydaje się szkodliwe i nie wpływa na mobilizację sił i środków do wykonania ogromnych zadań stojących przed nami.

Załączone do pisma wyjaśnienia i materiały, przedstawione przez wojewódzkiego konserwatora zabytków i inne odpowiedzialne osoby przeczą wielu tendencyjnym twierdzeniom red. H. Kowalik.

mgr **JOZEF WOLANIN**
z-ca przewodniczącego PWRN

Wspomniane wyżej materiały dowodowe to: obszernie dementiwo wojewódzkiego konserwatora zabytków magistra S. Kowalskiego i list dyrektora Okrę-

W OBRONIE ŁAGOWA?

gowego Zarządu Lasów Państwowych w Zielonej Górze inż. M. Mazurkiewicza.

Nim podejmę próbę udowodnienia, że pretensje obydwu panów, jakobym przypisała im stwierdzenia, które nigdy nie padły z ich ust są bezpodstawne — kilka słów natury ogólnej. Alarmując opinię publiczną artykułami o Łagowie, chciałam nie tylko wyrazić oburzenie z powodu zeszpecenia Bramy Polskiej czy nieudanego a kosztownego remontu zamku. Na ten temat wypowiedało się „Zycie” kilkakrotnie. Moim zamiarem było poznanie osób kompetentnych w wydawaniu decyzji, które w odczuciu nie tylko piękności, ale i Czytelników (świadczą o tym listy do Redakcji, które wkrótce wydrukujemy) były nierozumne. Pytałam więc przedstawicieli terenowej administracji wprost: dlaczego decydując o wycięciu drzew, burzeniu murów oporowych koło zabytkowych bram czy tynkowaniu gotyckiego muru — bezpowrotnie niszczą piękno Łagowa. Przytoczone w artykule słowa przewodniczącego PRN w Świebodzinie i naczelnika łagowskiej gminy, którym na szczęście żaden z nich nie zaprzecza — dają odpowiedź jednoznaczną. Ci funkcjonariusze administracyjnej władzy nie chcą ograniczać swych kompetencji do spraw, na których się znają. Zaufani w siłę zajmowanych stanowisk, ignorują doradcze głosy mieszkańców Łagowa. Zapominając, że to przecież dzięki nim zajęli urzędowe stołki.

Nie ograniczałam się do rozmów w powiecie. Z pytaniem: gdzie są winni, pojechałam do Zielonej Góry. Stwierdzenie wiceprzewodniczącego WRN, jakobym nie wysłuchała opinii osób kompetentnych jest więc tak dalece pozbawione podstaw, że pozostawiam bez komentarza.

Co innego pretensje, jakobym pozwoliła sobie wkładać w usta różnych poważnych osób słowa, których nigdy nie wypowiedziały. Dla reportera jest to zarzut poważny i niewiele pociesza mnie myśl, że w podobnej sytuacji znaleźli się piszący o Łagowie koleśdy z innych gazet, m. in. z „Gazety Zielonogórskiej” i „Nadodrza”.

Skonfrontujmy zatem dementiwo mgr Kowalskiego z tekstem reportażu. Magister stwierdza:

„Pozbawione podstaw są zarzuty dotyczące rzekomego zniszczenia zamku. Remont podjęty w 1982 r. trwał, z wielu powodów długo, ale nie wpłynęło to ujemnie na jakość robót. Względnie użytkowe zadecydowały o budowie nowej klatki schodowej do wieży. (...) Według opinii fachowców jest to projekt szczęśliwy”. To oświadczenie ma być sprostowaniem słów, które rzekomo przypisałam panu Kowalskiemu, a które brzmiały (podaje z art.): „Nie uważam, aby remont zamku był skandalem. Jedynie co

może budzić niezadowolenie, to czas jego trwania”. Gdzie więc te przekłamania?!

Wojewódzki konserwator pisze dalej: „Nie mogłem mówić o opadających z sufitu sztukateriach, bo takich w zamku w ogóle nie ma”. A oto cytaty z artykułu: „Za opieszałe tempo robót na zamku (mówi konserwator — dopisuję H.K.) odpowiada POSTIW. Bo (...) w noc sylwestrową 1971 r. przadził w niewykonywanym zamku wielki bal, który spowodował popęknięcie instalacji i odpryski sztukaterii na suficie. Prawda jest, że również po odnaniu obiektu zaczęły opadać tynki, powyginały się parapety, instalacja nawiewno-wywietrzna wpuszczała do wnętrza smrodliwe zapachy...”

Nie mając tak bardzo potrzebnej w tym miejscu taśmy magnetofonowej pozwałam sobie przypomnieć p. Kowalskiemu okoliczności, w jakich wyraził cytowane wyżej opinie. Do jego biura przyszedł z wycinkami gazet na temat remontu zamku — m. in. z egzemplarzem „Gazety Zielonogórskiej” z września 1971 roku, w którym opublikowano list konserwatora, będący odpowiedzią na krytyczny artykuł o Łagowie, zamieszczony w tym piśmie. Dyskutowaliśmy nad owym listem. P. Kowalski radził mi i powołał się na jego treść, gdyż jak twierdził stanowił dowód niezmienności jego sądom o „lubuskiej perle”. A oto co oświadczał publicznie Konserwator w 1971 roku na łamach wojewódzkiego dziennika:

„Jedną z przyczyn przedłużającego się remontu zamku jest niewywiązywanie się POSTIW z podstawowych obowiązków inwestora. Autorka artykułu (opublikowanego w „Gazecie” — H.K.) ma pretensje do PKZ, do WKZ, a nie widzi, że za wiele zamieszania (w innym miejscu zostały one wyliczone jak: zły stan techniczny kawiarni zamkowej, w której zaraz po remoncie rozpadły się gotyckie formatki lupoków sklepienia, że założone wentylacja i instalacja wodno-kanalizacyjna — dopisuję H.K.) ponosi winę użytkownik zamku”. Odpowiadając na artykuł w „Gazecie” S. Kowalski podparł się ponadto niszem dyrektora oddziału PKZ stwierdzającym, że „w niewykonywanym zamku urządzono zabawę sylwestrową, która dała efekt wspaniałego zamroźnięcia przejeźdźców i zniszczenia instalacji wodociągowej”.

Zapierając się dziś własnym zdaniem wygłoszonego przed dwoma laty wojewódzki konserwator oświadcza na piśmie do naczelnego redaktora „Zycia”, że „nie mógł wypowiedzieć się na temat wentylacji, bo są to sprawy z dziedziny pozakonserwatorskiej”. Przypuszczam za spoufalanie się. A... pamięta pan? Za urzędowym biurkiem żalił się pan na kuchenne fetory, które przedostają się do gabinetu z przedziałnej stołki. Tak, mówiliśmy nie tylko o zabytkach. Również o... NJK — którego odwiezdzania bardzo mi pan odrażał twierdząc, że zmarnuje tylko czas. (Dobrze

choć, że tego pan nie odwołuje!)

Z ostatnim punktem sprostowania konserwatora zgadzam się w zupełności. Brzmion: „Nie wypowiedziałem się ani jednym negatywnym słowem o Towarzystwie Miłośników Łagowa”. Prawda! Tyłko — czy ja tak napisałam? Zarzucając dziennikarzowi niesolidny warsztat wypadałoby patrzeć się o staranniejszą lekturę artykułu.

W zakończeniu dementiwo mgr Kowalski pisze:

„W artykule „Zycia” uderza bezkrytyczny stosunek do wszystkiego co bruskie, przy równoczesnym generalnym negowaniu wszystkiego, co zrobiono w czasach polskich. Stąd podawanie zniekształconego pruskiego przebudowa zamku i całkowite potępienie troskliwie przeprowadzonej polskiej konserwacji, stąd uznanie dla bezwartościowych, przestarzałych niemieckich publikacji...”

Powyższe stwierdzenie nasuwa mi dwie refleksje, albo pan Kowalski nie czytał drugiego artykułu o Łagowie, albo też liczy na to, że Czytelnicy jego publicznej wypowiedzi nie będą pamiętali o co poszło.

Co do drugiego materiału „dowodowego” — wypowiedzi dyrektora Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych, któremu w artykule poświęciłam jedno zdanie, jest ona nie na temat. Dyr. Mazurkiewicz pomija bowiem w liście sporną kwestię jego zgadzając się na wycięcie olch, orzekł ich chorobę czy też nie. Stwierdza natomiast, że „uwzględniając narastające zadania lasów w zakresie funkcji rekreacyjnej, polecono nadleśniczostwom wstrzymać zreby zupełnie nad jeziorami: Łagowskim, Sławskim i innymi”.

Bardzo to pocieszająca wiadomość! W ogóle korespondencja z Zielonej Góry do naczelnego redaktora „Zycia” przyniosła sporo dobrych wieści.

Wiceprzewodniczący WRN na piśmie w zakończeniu swego listu ze „3 marca br. odbyło się zebranie zainteresowanych osób w Prezydium WRN z udziałem przedstawicieli Towarzystwa Ziemi Świebodzińskiej i Towarzystwa Miłośników Łagowa, gdzie ustalono powołanie komisji przy wojewódzkim architekcie, celem dokonania wszechstronnej oceny problemów Łagowa”. Natomiast 10 marca br. „została powołana komisja Wojewódzkiej Rady Ochrony Dóbr Kultury, która orzekła, że plan przestrzenny zagospodarowania Łagowa, przewidujący wyeliminowanie ruchu kołowego z podgródzia i skierowanie go projektowaną drogą nad jeziorami, jest jedynie słusznym sposobem rozwiązania problemu komunikacyjnego”. Ta sama komisja stwierdziła, że Brama Polska zostanie oczyszczona z tynku, a Marchiska będzie oddana łagowskiemu Towarzystwu Miłośników. Postanowiono też u sunąć z podgródzia kłosa z różnym, betonowe kwietniki, szpetne lampy itp. Wreszcie — pisze mgr J. Wolanin: „W najbliższym czasie zamierzamy odbyć spotkanie kompetentnych przedstawicieli władz wojewódzkich i powiatowych z zainteresowanymi mieszkańcami Łagowa”.

I tu podajemy sobie ręce. O to przecież chodziło, zarówno autorowi cyklu „Zycia” pt. „Zabytkom na odsiecz”, jak i mnie.

HELENA KOWALIK



Łagów do 1945r. Plaża.